Nr. 9. Warszawa, dnia 1 Marca (17 Lutego) 1890 r. Rok X.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

PO WYBORACH.

W jednej ze swych szyderczych mów przeciw postępowcom, którzy zawsze byli kamieniami jego wątroby, rzekł Bismark: mieliśmy tuzin socyalistów, mamy teraz drugi — i od trzeciego głowa nas nie zaboli; w każdym razie wolimy ich, niż podkomendnych p. Richtera. Z dziwną złośliwością spełnia los często słowa żartem na wiatr rzucone. Ostatnie wybory do sejmu dały kanclerzowi niemieckiemu już nie trzy, ale około pięciu tuzinów socyalistów, pomnożywszy równocześnie szeregi Richtera. Takiego przybytku nie spodziewał się on. Kiedy wypowiadał swoją lekceważącą przeciwników drwinę z ich wzrostu, czuł w ręku siłę, która zamachów na nią się nie lęka a nawet dla wypróbowania ich niemocy wyzywać je może. I rzeczywiście Bismark siłę taką — było to jeszcze za życia Wilhelma I — posiadał w bezwzględnem zaufaniu monarchy i narodu. Cesarz patrzył na świat oczami swego kanclerza, rządził jego wolą, zasadami i kaprysami; kraj posyłał mu do sejmu większość przedstawicieli życzliwych, uległych i usłużnych. Co wtedy mógł obchodzić Bismarka jakiś tam tuzin albo dwa socyalistów? Powoli jednak ten długotrwały obraz wszechwładztwa kanclerskiego zaczął tracić swe jaskrawe barwy i niknąć, aż wreszcie zamienił się na stary, wyblakły gobelin z niewyraźnym rysunkiem, usuwany do... muzeum historycznego. Wbrew wszelkim oczekiwaniom, pomimo okrzykiwania doradcy dziadka „wielkim chorążym," pomimo całowania w rękę jego żony, pomimo hołdów, odwiedzin i wspólnych obiadów, Wilhelm II nie został owym Mefistem, w którym ukryci szachiści rozgrywają partye na turniejach, postanowił grać je sam, jawnie, przez siebie i dla siebie, często nie uwzględniając wskazówek mistrza z „galeryi." Nie pomogło związywanie zerwanych nici stosunku zapomocą lojalizmu z jednej a szacunku z drugiej strony — różnica zdań i kierunków polityki między monarchą a kanclerzem zaznaczała się coraz wyraźniej. Jednocześnie i naród, który od ćwierć wieku stanowił zbiorowe medium dla potężnego magnetyzera, zaczął się budzić ze snu hypnotycznego i odzyskiwać swą niezależność. W wyborach poprzednich, gdy Bismark spojrzał na to medium i „poddał mu myśl," natychmiast wykonywało ono, czego żądał. Tym razem, czy nie użył swej sztuki, czy też ona go zawiodła, dość że medium objawiło swoją własną wolę — rozpędziło znaczną część kartelowców, najwierniejszą służbę kanclerza i wybrało zdwojony zastęp jego przeciwników.

Czy to znaczy, że Bismark powinien wreszcie usłuchać życzliwej rady jednego z dziennikarzów warszawskich i ustąpić? Tak źle z nim jeszcze nie jest. Ze swoją naturą polityka „realnego," gotowego zawsze porzucić słabych i zwrócić się ku silnym, z tą czcią, jaką jeszcze u tronu i narodu posiada, może on rządzić do śmierci lub sam sobie wyznaczyć chwilę opuszczenia steru. Narodowo-liberalni zamienili się na szmat topniejącego śniegu, a socyaliści i postępowcy spadli z góry wielką bryłą — to powaliłoby ministra teoretyka, ale nie „realistę." Pozostają mu przecie konserwatyści i... ultramontanie, którzy dotąd stanowili opozycyę, ale dadzą się bez wielkich wysiłków przeciągnąć na stronę „chóru landratów." Jeżeli tedy Bismark pozostać zechce, większość w sejmie mieć będzie. Ale całkiem inna kwestya, czy on, wielkorządca państwa, prokurent korony z nieograniczoną ufnością, bożyszcze narodu, człowiek z nałogami dumy i samowoli a z drażliwością siedemdziesięcioletniego starca, zdobędzie się na tyle „realizmu," ażeby puścić mimo uwagi samodzielne ruchy cesarza i nieprzyjazny zwrot w usposobieniach narodu, który mu potroił opozycyę? Takiego sejmu Bismark jeszcze nigdy nie miał, od czasu jak swą polityką niemców hypnotyzować zaczął.

W kwestyi tej jest jeden punkt, który zasługuje na bliższą z naszej strony uwagę. Jeżeli Bismark nie zniechęci się rezultatem świeżo dokonanych wyborów po stracie narodowo-liberałów, to—jak rzekliśmy—złoży większość z konserwatystów i ultramontanów (centrum). Otóż po wejściu tej nowej planety w system rządowy, co stanie się z jej trabantem — Kołem polskiem? Czy i ono także wejdzie w skład „chóru landratów"? Wątpimy. Odłączone od wozu, którego było piątem kołem, pozostanie bez oparcia, bez gruntu własnego, którego sobie nie wyrobiło. Było ono kątnikiem w pałacu Windhorsta, który mu przytułek wymówi lub liberyę rządową przywdziać każe.

Czy posłowie polscy uprzytomnili już sobie całą zmianę swego położenia — nie wiemy, ale że ono postawiło ich w innych i bardzo niebezpiecznych warunkach — to jest dla każdego widocznem.

Od lat wielu, a zwłaszcza po smutnych doświadczeniach z „ojcowską opieką" papieża i jego sługą Dinderem, prasa polska, nienależąca do „czarnej międzynarodówki" radziła Kołu polskiemu, aby ono zdobyło się na większą samodzielność i obejrzało się za innym związkiem. Chwilowo nawet można było mniemać, że zwróci się w kierunku tej rady. Nałóg wszakże przemógł i zatrzymał gromadkę na wydeptanych ścieżkach. Do ostatniej chwili maszerowała ona według komendy i pod dowództwem Windhorsta. Teraz gdy ów Windhorst z konfederaty zamieni się na hetmana rządowego i połączy swe szeregi z konserwatywnymi, Koło polskie będzie miało tylko dwie drogi: albo popełnić samobójstwo, albo odrzucić kule, wypożyczone od ultramontanów, i stanąć o własnej sile. Wkrótce zapewne zobaczymy, co wybierze.

KWESTYA ŻYDOWSKA w parlamencie austryackim.

Projekt ustawy, regulującej zewnętrzne stosunki prawne religijnej społeczności żydowskiej, dawno już przyjęty przez Izbę panów, wniesiony został przez rząd austryacki do parlamentu, gdzie rozprawy nad nim sięgnęły daleko swem znaczeniem. Zanim naszkicujemy przebieg obrad, zaznaczamy, że prawne stosunki żydów, jako wyznawców religii mojżeszowej, określa w Austryi artykuł zasadniczej ustawy państwowej, znoszący wszelkie dawne rozporządzenia: atoli formy administracyi autonomicznej, opartej na nowym ustroju politycznym, wymagają ustawy wykonawczej, któraby ścieśniła pole samowolnego postępowania władz politycznych. Projekt rządowy traktuje religię żydowską jako wyznanie jednolite, nie wchodząc w różnice sekt poszczególnych, a za podstawę organizacyi wyznaniowej bierze żydowską gminę wyznaniową. Projekt ten usuwa tedy stopniowanie hierarchiczne. Reguluje on natomiast organizacyę gmin i kompetencyę organów wyznaniowych, określając zarazem pole i sposób wykonywania nadzoru państwowego.

Dyskusya ogólna nad tym projektem była wielkim turniejem parlamentarnym antysemitów niemieckich z żydami i obrońcami praw ich obywatelskich. Nigdy może nie słyszeliśmy gadaniny bardziej jałowej i niesmacznej, aniżeli w owych trzech dniach, kiedy mówiono o kwestyi żydowskiej: ani jednego nowego punktu widzenia, ani jednego olśniewającego fajerwerku parlamentarnego. Jedni walczyli oklepanymi frazesami i cytatami antyżydowskiemi, drudzy nie mniej oklepanemi tarczami i oszczepami liberalizmu. Jeżeli mimo to czytelników *Prawdy* zapoznać chcemy z wywodami niektórych mówców, to jedynie z uwagi, że stanowisko, jakie zajęli w tych obradach polacy, i światło, jakie padło na postępowanie narodu czeskiego w sprawie żydowskiej, przynosi zaszczyt słowiańskim żywiołom parlamentu austryackiego.

Przemówił naprzód antysemita Türk, który wykazując rozmiary „panowania żydowskiego,“ sprzeciwiał się ugaszczaniu siedmiu milionów izraelitów przez ludy aryjskie, a zwłaszcza wychodźców z Rosyi. Na poparcie tych wywodów przytoczył Türk, że Rotschild w Czechach posiada osiem razy więcej dóbr ziemskich, niż rodzina cesarska, że żydzi w Galicyi ogarnęli 80% własności większej i przeszło połowę małej, dalej że baron Popper jest panem większej części komitatu nitrzańskiego. Druga część przemówienia Türka poświęconą była dowodzeniu, że żydzi używają krwi chrześciańskiej; dowód ten opierał się głównie na twierdzeniu służącej, która będąc w domu Türka, opowiadała mu, że przebywając poprzednio u żydów, budziła się często z ciałem pokłutem.

Po przemówieniu ministra Gautscha, który objaśniał stanowisko rządu, prazki profesor dr. Zucker (żyd) odpowiedział Türkowi. Według niego źródło antysemityzmu tkwi w nienawiści wyznaniowej i rasowej. Zarzucają żydom — mówił on — że udział ich w bankructwach nieuczciwych jest o 19 razy większym, aniżeli nieżydów: okoliczność ta objaśnia się faktem, że żydzi występują w handlu 15 razy liczniej, aniżeli nieżydzi. W Wiedniu istnieje 500 firm wielkich, 450 żydowskich, 50 nieżydowskich; tych 50 firm posiada jednak dziesięć razy więcej, aniżeli 450 żydowskich. Rotschild niema w Czechach ani piędzi ziemi a Popper w komitacie nitrzańskim ani jednego drzewa; co do Galicyi powoływał się Zucker na dane zebrane przez Szczepanowskiego. Pomijamy dalsze jego wywody, które rzekomą bezwpływowość żydów wykazują w sposób równie sofistyczny, jak Türk dowodził ich wszechpotęgi. Jeden tylko jeszcze ustęp przytoczymy. Zucker domagał się, by żydów pragnących wstąpić w szeregi społeczeństwa, wśród którego żyją, przyjmowano jako członków narodu, nie jako obcych. I tu złożył hołd ludowi czeskiemu, który powinienby czuć żal do żydów z powodu, że zwolna tylko politycznie się z nim łączyli i że dziś jeszcze po części tylko się zaasymilowali, a który mimo to ani o włos nie odstępuje od liberalnego, braterskiego niemal ich traktowania.

Antysemicie Pscherdenowi, który wchodził w szczegóły projektu, odpowiedział rabin Bloch, poseł kołomyjski, przytaczając całą bibliotekę na korzyść żydów. Dowcipnym był wywód jego o zarzutach czynionych izraelitom. W Austryi oskarżają ich, że zbyt wiele wysyłają dzieci do szkół publicznych; w Galicyi — że omijają szkoły. Skoro żyją wystawnie, zowią ich Geldhabami; skoro żyją oszczędnie, uchodzą za skąpców. Biorąc udział w życiu publicznem, narażają się na zarzut natręctwa i arogancyi; nie biorąc, słyszeć muszą, iż są bez narodowości i bez ojczyzny. Kiedy idą z rządem, mówią im: żydzi zawsze trzymają się silniejszego; kiedy łączą się z opozycyą, wówczas — rozkładają stronnictwa polityczne. Zwracając się przeciw antysemityzmowi niemieckiemu, przypominał Bloch, że żydzi roznosili wszędzie niemieckość, zasługując na nienawiść innych ludów; Niemcy zaś odwdzięczają im się dziś, odnawiając hasło „hep, hepp!“, którego ani po polsku, ani po czesku przetłomaczyć nie można. Bloch zakończył długą mowę swą słowami Smolki: „Prawdziwą miarą cywilizacyi narodów jest postępowanie ich względem innowierców.“

Trzeci, ostatni dzień dyskusyi ogólnej, powołał trzech mówców polskich w szranki przeciw Luegerowi, Türkowi i Pattajowi. Radca ministeryalny Rittner zapewniał, że zarówno w układzie ustawy, jak w przeprowadzeniu jej rząd dalekim będzie od chęci krępowania swobody wyznaniowej. Bloch żądał był poparcia powagi rabinów w gminie; Rittner w imieniu rządu zaznaczył, że w wewnętrzne sprawy gmin żydowskich rząd mieszać się nie może. Hr. Piniński dotykał w przemówieniu swem kilku punktów szczegółowych, zwłaszcza hierarchii wśród duchowieństwa żydowskiego. Przy końcu zaznaczył stanowisko, zajmowane przez posłów galicyjskich: głosowali oni nieraz za ustawami niekorzystnemi dla żydów (np. o lichwie), za pewnemi paragrafami nowej ustawy karnej itd., lecz występowali zawsze tylko przeciw wyzyskowi, nigdy przeciw żydom.

Lueger odpierał żądanie Zuckra, by żydom zasymilowanym przyznano prawo obywatelstwa. Według niego narodowość nie polega na języku, musi ona być odziedziczoną. Trafne były wywody jego o zepsuciu prasy żydowsko-liberalnej; która zajmuje stanowisko wielkiego kapitału. Podobnie jak Türk, zapowiedział, iż antysemityzm skończy się dopiero z ustaniem wpływu żydowskiego w życiu ekonomicznem i umysłowem.

Ostatni głos miał referent projektu, poseł Gniewosz. Zwrócił on się przeciw mówcom antysemickim, którzy rozbudzając nienawiść, chcą posykać tanią popularność. Zarzucał im, że wywody ich nie zawierały wniosków pozytywnych; jednem było żądanie, aby rząd polecił przełożenie Talmudu. Lecz rząd nie jest zobowiązany starać się

CHWILE.

2. BÓR.

(Fantazya).

Było chłopię małe snem spowite.

Był bór wielki śpiący, szarą mgłą nocy zakryty.

Wstało słońce i chłopca zbudziło, w powieki go całując.

Wstało słońce i nad lasem mgły inne — ozłocone, białe, błękitne zawiesiło.

Zobaczył chłopiec, że bór jest w czemś schowany i począł narzekać:

— A może boru już niema za tą płachtą! Wielka byłaby szkoda, bo piękniejszy jest, niż ogród przy chacie. Pójdę zobaczyć.

I poszedł ku temu, a przez drogę rosy mu liczko umyły, a wiatr na niem rumieńce rozdmuchał, a słońce w oczkach jego się przejrzało, niby w krynicy błękitnej, ciemnej na dnie — i drogę przed nim wyzłociło — drogę ku mgłom wiodącą — do boru.

Było słońce to nizko, jakby po ziemi toczyć się miało, i chłopiec przeciw niemu biegnąc, oczu nie mrużył, a w źrenicę słoneczną spoglądał prosto — w źrenicę złotą, co przez mgły różowe migotała. I znowu narzekał przed sobą:

— A może ono dziś w górę nie poleci! Wielka byłaby szkoda, bo w górze ma jasność ogromną, aż mi oczy od niej ślepną, a przed oczami kręgi latają.

Zdaleka bór zapachniał i chłody wilgotne przeciw chłopcu słał, by mu czoło uznojone otarły. A słońce pękiem strzał złotych rozdarło płachty mgliste, wiszące na drzewach.

Weszło chłopię rozradowane pod sklepienia ze snu jeszcze nieruchome i ciche, a w cichości łzy roniące brylantowe. Pod nogi mu łzy te spadały, po mchach i trawach się rozsypywały — po roślinkach snem stulonych. Jedna zwysoka upadła, pod listek się zatoczyła i zabłysła krwawo na jagodzie wielkiej, czerwonej.

Zerwał chłopiec jagodę i cieszył się, że wielka, a potem idąc, za małemi już się nie rozglądał, tylko wielkich wypatrywał, na których iskrzyły się rosy brylantowe. Takie gęsto nie rosły, więc odchodził coraz dalej i dalej, aż bór go otoczył ze stron wszystkich — bór, co dla chłopca małego był niby świat niezmierzony, niekończący się.

Lęku jednak nie czuł, bo oto słońce nie po ziemi się toczyło, ale nad nim pływało, w głębi bezchmurnej i między szczytami drzew przepływając, śledziło go okiem wielkiem, coraz goręcej i jaśniej płonącem.

Ze spojrzeń tych upał spływał i falą ciężką nad lasem się przelewał. A wiatr kędyś w jar daleki zapadł, tylko wietrzyki małe chichotały, czepiając się gałązek wysokich. Sosny stały nieruchome, dech w sobie zaparłszy, a paprocie żółknące trzymały nad ziemią zasłonę z liści szerokich utkaną, wzorzystą. Pod nią ziemia chłodem oddychała.

Szedł chłopiec po wstędze zielonej, między paprocią się snującej i leszczyną rozłożystą, szedł i wypatrywał, które sosny wyżej sięgają, a przed najwyższą zatrzymał się i wzrok na jej szczycie wieszając, myślał:

— Gdy będzie południe, zobaczę słońce na wierzchu tej sosny. Ono na najwyższej odpoczywa.

Przylegl w mchu niedaleko drzewa i czekał, rychło-li słońce tam na szczycie siądzie. Wtem posłyszał szmery jakieś, napływające do lasu, a niebawem zobaczył gromadę ptaków różnych, które zlatywały z wielu stron. Rozsiadły ptaki te po drzewach, porywając się co chwila do lotu, krzycząc i nawołując się. Niespokojne były, trwożne.

Patrzył chłopiec w górę, szukając co by je tak trwożyło i zdumiał się wielce, bo oto z tej głębi, gdzie słońce samo jedno pływało, spadał ptak duży — na bór spadał z błękitów.

Ogromnym wydał mu się ptak ten na niebie i wspaniałym, gdy tak od słońca spadał, rozpostarłszy wielkie skrzydła.

o przekład dzieł teologicznych dla przywódców pewnych stronnictw, którzy chcą nauczyć się czegoś, o czem wypowiadali sądy, zanim się nauczyli. Nie przeczy on, że żydzi mogą się stać poniekąd niebezpiecznymi dla ludności krajowej, ale nie wskutek swych wad rasowych lub przepisów rytualnych, lecz wskutek mniejszych potrzeb, większej w pracy wytrwałości i niższych cen, jakie ofiarowywać mogą. Od tej konsekwencyi bronić się należy nie pustem mieleniem wyrazów, ani propagandą podbudzającą barbarzyńskie instynkty mas, lecz pracą. Niemcom, którzy zdają się wątpić o sile własnej ludności, zalecić należy, aby na wzór galicyjskiej ludności wiejskiej potworzyli kółka rolnicze i przemysłowe, wszechstronnie przeprowadzali program samopomocy, zamiast głosić nienawiść wyznaniową i rasową.

S.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Utwierdzając się w swych przypuszczeniach echami własnych domysłów i głosów, dziennikarze codzień podpisują dymisyę Bismarka z kanclerstwa. Dusza polityczna Niemiec, ich bóg, bez którego woli żaden wróbel z dachu nie spadł, oś, na której od ćwierć wieku obraca się państwo — *der grösste Statsmann* miałby już być gratem politycznym? Niepodobna tema uwierzyć— i zdaje nam się, że prasa przedwcześnie odśpiewuje nad nim egzekwie. Że on z obecnymi warunkami pogodzić się nie może — to jest widocznem; ale wtedy dopiero, gdy śmiała ręka zechce wyrwać z ziemi ten dąb, okaże się, jak on głęboko i szeroko zapuścił korzenie.

Po całych Niemczech rozlegają się okrzyki tryumfu socyalno-demokratów, którzy już zwyciężyli w 21 okręgach a w 59 stają do wyborów ściślejszych. Jak olbrzymio żywioł ten rozrasta się, przekonywają cyfry jego głosów wyborczych. Tak np. w r. 1878 oddano ich do urny w Stuttgarcie 4,496 a w r. 1890—10,372; w Kolonii 4,952—10,688; w Bremie 7,743—14,843 itd. I to jest rezultat praw wyjątkowych przeciw socyalistom. Rzeczywiście, w cudzą piętę mierzył a w swój nos uderzył.

Chociaż wybory niemieckie — jak to wykazaliśmy dawniej — dały lekcyę poglądową Francyi, jej prasa zachwyca się nimi z tego powodu, że w Alzacyi i Lotaryngii zwyciężyło paru „protestujących,“ właściwego zaś ich i doniośliejszego znaczenia nie widzi. Bo i co ona może widzieć, zajęta spisem potraw zjadanych przez ks. Orleańskiego w więzieniu. Może teraz, gdy go przeniesiono do Clairvaux, pomyśli o czem innem. Z jednej strony zuchwała postawa dzienników orleańskich, z drugiej — natarcia radykałów, żądających amnestyi dla swych męczenników, zmusiły rząd do zatrzymania w kozie młodego księcia. Ułaskawienie go wszakże jest tylko kwestyą czasu a z Clairvaux można będzie wywieźć panicza z mniejszym hałasem.

Stare bogi się walą lub idą na wygnanie. Andrassy umarł, Bismark grozi odejściem, Tisza znosić musi coraz gwałtowniejsze ataki opozycyi, dla której stał się czerwoną płachtą. Może żaden parlament nie brzmiał tak ciągle wybuchami gorszących skandalów, jak węgierski. Samo ukazanie się Tiszy wywołuje wściekłą burzę krzyków i złorzeczeń. Najzimniejsza krew w takim ogniu wreszcie zagotuje się, najmocniejsza wytrwałość znuży się.

Rosya przez sprawującego jej interesy w Sofii konsula niemieckiego zażądała od Bułgaryi wypłaty długu, pozostałego z kosztów wojny. Podobno rząd bułgarski odpowiedział, że pieniądze czekają w kasie na odebranie. Skąd one wzięły się w pustym niedawno skarbcu?

Proces majora Panicy nie przebiega drogą otwartą, lecz przebywa pewne tunele, w których o jego ruchu wiedzą tylko ci, co w nim bądź jako maszyniści i konduktorzy, bądź jako pasażerowie jadą. Właśnie teraz znajduje się w tunelu.

Otto Hausner umarł.

SPRAWY EKONOMICZNE.

FEODALIZM PRZEMYSŁOWY.

Kraje, w których brak jawnej walki partyjno-politycznej, nie mogą pochlubić się w większości wypadków głębokiem pojmowaniem zapasów społecznych, które są właściwe państwom z większym rozwojem życia politycznego. We Francyi np. zdarza się, że stronnictwa parlamentarne, stojące na wprost przeciwległych od siebie krańcach, zbliżają się nagle ku sobie chwilowo dla obalenia istniejącego gabinetu. Taktyka postępowania jest tutaj tak przezroczystą, że każdy ją zrozumie, nawet najmniej rozwinięty politycznie. Lecz sprawa nie zawsze wygląda tak prosto. Odpowiednio też sam sąd o przedmiocie zaciemnia się. Przypuśćmy, że francuska grupa ultramontańska występuje z projektami na polu ustawodawstwa fabrycznego. Komuś, w kraju niewyrobionym politycznie, zdawać się może, że stoimy na dziwnym przełomie społecznym, kiedy żywioł, zapatrzony w dawną uprzywilejowaną przeszłość lub w różne państwa paragwajskie, zrzeknie się swoich marzeń wyzysku i wejdzie w szeregi, które walczą przeciw ciemięztwu. Jednakże świadoma zagranica inaczej sądzi o tych objawach. Gaweł będzie dla niej zawsze Gawłem, Paweł — Pawłem, lubo jeden i drugi mogą spotkać się przypadkiem na drodze tych samych żądań...

Kilka tych słów nasunęło nam się z powodu dekretów ces. Wilhelma i sądów, jakie odezwały się z tego powodu. W niedawnym artykule naszym usiłowaliśmy oświetlić odpowiednio tę sprawę, znane zaś dotychczas wyniki wyborów do parlamentu niemieckiego zupełnie usprawiedliwiają naszę pojmowanie. Mówiąc o dekretach, wspominaliśmy o istnieniu całego prądu społeczno - reformacyjnego, który nazwaliśmy feodalizmem przemysłowym. Chcemy obecnie o nim pomówić szczegółowiej. Naturalnie nie przedstawia on zgoła czegoś jednolitego w rozmaitych swoich wyrażeniach; mamy tu raczej do czynienia z mnóstwem najrozmaitszych odcieni i kierunków, zależnych od podłoża, na którem wyrastają. Wszystkie jednakże polegają na dążności przystosowania ustawy prawno-politycznej odpowiednio do nowoczesnych metod produkcyjnych, tak, aby różne strony ujemne, w rodzaju pauperyzmów, przesileń, anarchii rynku roboczego i niepewności jutrzejszego zarobku, były usunięte, wraz z niemi zaś zgaszone zarzewie wzrastającego niezadowolenia i parcia w kierunku przewrotowym, a jednakże mimo to wszystko była utrzymaną własność prywatna. Atoli nie wszystkie pojedyncze potoki ruchu wyżłobiły jasno zakreślone koryto. Większość nie wybiegła po za porywy nawskróś żywiołowe i nieświadome i zaledwie odłam, który wyrósł na gruncie interesów szlachecko-ul-

---

Rozsypała się rzesza ptaków drobnych, pierzchając przed tym wielkim, i zebrała się w innej stronie, a gdy był nizko i nad borem leciał tak wolno i równo, jakby płynął, skrzydłem, niby wiosłem, zawadzając o szczyty sosen, one wróciły i leciały za nim z krzykiem, ale nie odpowiadał im, tylko czasem większe fale powietrza skrzydłami zagarniał lub mocniej o gałęzie uderzał, sypiąc z nich igły zdarte.

Śledził chłopiec lot ptaka i myślał, że pewnie na tej sośnie spocznie, gdzie słońce siadało. A on i jej szczyt tracił i minął, jakby mu za lichą była; w dół opadł, ku sośnie leciał nędznej, niskiej, obumarłej pod cieniem, którym ją wysokie siostrzyce nakryły. Na wierzchołku suchym stanął, szponami go objawszy, skrzydła złożył i tak nieruchomy pozostał, jakby do drzewa przyrósł i zamarł.

Nad nim w kole stały szczyty drzew wielkich i chwiejąc się, pokłon oddawały, czy jemu, czy tej z sosen najlichszej.

I latały nad nim ptaki małe, ale umęczyły się krzykiem i rozpierzchły, a w borze znów ucichło.

Patrzył chłopiec na ptaka, napatrzyć się nie mogąc i rozmyślając:

— Niema wspanialszego! Co on widział ten ptak? Może słońce zblizka, może cały świat. A teraz nikogo i nic już nie zobaczy, bo oślepł pewnie od jasności.

Wtem zbliżył się człowiek jakiś, a ujrzawszy ptaka, stanął, przyjrzał mu się i ręką zamachnął, aby go zgonić i w locie zabić, bo wstyd mu było strzelać do siedzącego nizko.

Ale ten nie widział go i nie słyszał.

Wymierzył człowiek doń i strzelił, a zatrwożył się bardzo w tej chwili, bo nie ptak śmiercią uderzony, zajęczał, ale pierś ludzka, gdzieś obok, jęknęła żałośnie.

Ptak skrzydła rozpostarł do połowy, jakby do lotu zerwać się miał, ale pochylił się tylko raz i drugi, niby pokłon oddając słońcu i głębi błękitnej, gorejącej, skąd zleciał; pochylił się raz jeszcze, niby pokłon składając przed borem, który go przyjął, a potem zawisł na wierzchołku, albowiem szpony ostre wpiły się weń mocno i nie puszczały. Odłamał się suchy wierzch, z chrzęstem posypały się gałęzie łamane i ptak spadł. A nie miał już wzlecieć w błękity słoneczne.

Nad nim chłopiec mały jęczał, złorzecząc człowiekowi, który tu przyszedł.

— Czemuś to uczynił? Czy znasz tego ptaka?

Odrzekł:

— Nie znam, ale że był wielki, więc szkodę mógł czynić, dlatego go zabił.

Zatrwożył się chłopiec, spoglądając w oczy tego człowieka i na ręce jego, z których wypadła śmierć dla wielkiego ptaka i nie mówił już nic, tylko odbiegł z tego miejsca.

A gdy znów stanął pod sosną najwyższą, zatrzymał się i myślał:

— Czemu ptak na tem drzewie nie usiadł, byłby uszedł śmierci!

Wtem zbliżyli się ludzie obcy i mówili między sobą, wskazując na drzewo:

— To zetniemy, bo najwyższe.

Przeraził się chłopiec niezmiernie i zaczął uciekać, ile tchu mu starczyło. A lęk drogę przed nim wydłużał, a smutek twarz mu wybielił, a łzy mu źreniczki mroczyły.

Wypadł z lasu i rozejrzał się po niebie, ale nigdzie nie mógł słońca dostrzedz. Za siebie spojrzał, a ono na ziemię spadło i toczyło się krwawe, omglone, bez jasności, aż zatoczyło się za czarną krawędź ziemi.

Zapłakał chłopiec, wołając:

— Teraz słońce nie pokaże się wcale, bo widziało dziś ludzi, którzy zabijają to, co wielkie.

Rozełkany, żałosny wrócił do domu.

Usnął bór wielki. Mgły nocy szare go zakryły.

Usnęło chłopię małe. Żal odeń nie odlatywał i na ustach sennych wciąż jedną skargę budził:

— Widziałem ludzi, którzy zabijają to, co wielkie.

F. Brodowski.

tramontańskich, zdał sobie jasno sprawę z dróg i ostatecznych celów. Jest to kierunek, na który bezwarunkowo warto zwrócić uwagę. Cokolwiek możnaby o nim powiedzieć, rzecz pewna wszakże, że daje wysokie wyobrażenie o wiedzy społecznej swoich ojców duchowych. Umysł ludzki narzucił już swoje panowanie wielu żywiołowym siłom przyrody; ujął np. liczne a nader szkodliwe swoimi wybrykami rzeki w groble i tamy, zmusił elektryczność do zbiegania po piorunochronie i nieszkodzenia budynkom. Uczynił to w następstwie zapoznania się z siłami przyrody, nie idąc przeciw prawom natury, ale właśnie korzystając z ich biegu. Podobnie społeczeństwo przedstawia dotychczas nieokiełznany jeszcze żywioł naturalny, rozwijający się samorzutnie i niezależnie od świadomości ludzkiej; poznanie jednak praw jego może doprowadzić do pewnych nader poważnych wyników celowego wkraczania w grę sił społecznych. Otóż odłam ultramontańsko-społeczny należy właśnie do nielicznych partyj, które z większą świadomością usiłują nadać rozwojowi społecznemu bieg określony, lecz zgodny z warunkami chwili. Posiada on głębokich teoretyków, jak le Playa i ks. Hitze (brat tego ostatniego został wezwany, zdaje się, do składu komisyi przygotowawczej dla dekretów ces. Wilhelma II), ma dzielnych przewódców politycznych, jak np. de Mun we Francyi, księcia Lichtensteina i Vogelsanga w Austryi; urządza stałe zjazdy, gdzie rozwija swoje zamiary i uświadamia je szerszym kołom *) Korzystając z tego wykończenia dążeń, przedstawimy je drobiazgowiej, tem samem wyznaczając zasadniczą istotę feodalizmu przemysłowego. Kiedy poznamy podstawy jednego z kierunków, łatwiej zrozumiemy inne odcienie.

W artykułach naszych wykazywaliśmy, jak rozkładająco działają nowoczesne metody produkcyi, upostaciowane w maszynie. Rozprężenie samo polega na tem, że urządzenia prawno-polityczne są zbyt ciasne dla pomieszczenia objawów, wywoływanych przez istnienie w społeczeństwie szczególnych sposobów wytwarzania. Ów pogląd jest zasadniczem twierdzeniem całego rozpatrywanego kierunku. „Kwestya społeczna polega na znalezieniu ustroju społecznego, któryby tak odpowiadał nowożytnym stosunkom produkcyjnym, jak to czynił swego czasu ustrój średniowieczny względem istniejących wtedy na wsi i w mieście prostych stosunków“ (Hitze). Wiemy też, jak maszyna działa niwelująco w najrozmaitszych dziedzinach życia społecznego, jak wywołuje ruch wśród ludności, niszczy powagę rodzinną i wszelką inną itd. „Określone stosunki własności tworzą niezłomne zwyczaje i mocno wyrzeźbione typy, ruchliwa zaś i zmienna własność wpływa burząco i depcąco na charakter i obyczaje.“ Idzie zatem o stworzenie organizacyi społecznej, która powołałaby do życia dawną mozajkę stosunków wraz z ustalonemi powagami. Przedewszystkiem należałoby zapobiedz dotychczasowemu rozkładowemu działaniu maszyny i ukrócić jej wymagania wolności procederu i wymiany w sferze towarowej, a równouprawnienia i swobody przesiedlania się wśród świata ludzkiego — słowem, za pomocą podatków i innych środków powstrzymać rozwój samego kapitalizmu. Najważniejszą jednak sprawą w tym względzie jest unormowanie wielkiej produkcyi w sposób znoszący dzisiejszą walkę konkurencyjną. Każdy wielki przedsiębiorca otrzymywałby drogą odpowiedniej instytucyi społecznej określoną liczbę zamówień, stosownie do przewidywanego stanu rynków i dozwolonych prawem rozmiarów zakładu; przepełnienia zatem dróg zbytu produktami i przesilenia zostałyby zniesione i wśród tłumów robotniczych usunięto jedno z najgłówniejszych źródeł niezadowolenia: niepewność jutra. Ten kierunek społeczny pokłada wielką nadzieję w związkach kartelowych, regulujących wzajemne współzawodnictwo. „Kartel jest jedynie wstępnym szczeblem, przez który przechodzi wielki przemysł, dążąc do obowiązkowego połączenia; dążnością wyrwania się z tegoczesnej anarchii.“ Lecz nie dość tego. Dzisiejszy wielki przemysł zamyka robotnikowi wszelką drogę widoków na przyszłość. Maszyna nie zna wieku, ani zasług, dla niej wszyscy pracujący są jednacy; w młodym wieku można zdobyć zarobek, który pozostanie niezmienny do końca życia. A zatem należałoby wprowadzić w wielkim zakładzie odpowiednią hierarchię niższych i wyższych stanowisk, odpowiednio do wieku i zasług, samą zaś fabrykę uczynić instytucyą, opartą na podstawie dawnego patryarchalnego stosunku pana do poddanego. W tym względzie francuska *Association catholique des ouvriers* wypracowała drobiazgowy program. Pewna liczba przedsiębiorców tego samego fachu łączy się w korporacyę, do której należą robotnicy. Jedni i drudzy płacą pewne sumy, z których powstaje majątek korporacyjny, służący dla różnych celów: pomocy w razie choroby, emerytury, wsparć dla szkół fachowych itp. Zarząd spoczywa w ręku syndykatu mieszanego, złożonego z przedsiębiorcow i najmitów, wychodzącego nie z wyboru, lecz drogą zasług prawem wyznaczonych. Sami robotnicy są uszeregowani hierarchicznie; zniszczy to samowolę kapitalistów w wynagradzaniu i oddalaniu zwłaszcza jeśli państwo pospieszy z wydaniem praw obowiązkowych co do wznoszenia się po owej drabinie; ostatnim szczeblem, który z obowiązku przypadnie każdemu najmicie po pewnej liczbie lat, szczególnych zasługach itd., będzie należenie do syndykatu. Zatargi pomiędzy kapitałem a pracą zostaną załatwione przez sądy rozjemcze, złożone z przedstawicieli stron obu. Oddzielny warsztat winien przedstawiać jedną rodzinę, gdzie najmita świadom jest swego miejsca i podwyższenia, jeśli uczyni zadość wszystkim wymaganiom postawionym przez ustawodawstwo, gdzie wreszcie każdy jest zabezpieczony na przypadek starości, choroby, nieszczęścia. Słowem, zorganizowanie stanowe przedsiębiorców według zawodów w odpowiednie kartele gospodarczo-politycznej natury; układ hierarchiczny robotników w ogniwa fabryczne, najwyższego zaś ogniwa w związek robotniczo-zawodowy, jak to widzimy wśród przedsiębiorców. Oto są żądania w sferze ustroju politycznego. Stosowna ustawa prawna, przypominająca otrzymywanie średniowiecznej godności majstrowskiej, ogranicza zakładanie nowych przedsiębiorstw.

Powyższe środki dążą do zniszczenia ujemnych społecznie następstw maszyny w zakresie warstw wielko-przemysłowych. Ale jednocześnie z tą działalnością winna podążać inna, wzmacniająca zachowawczo-stanowe pierwiastki teraźniejszości, a mianowicie włościaństwo i rzemieślników. Prócz powstrzymania ruiny należy je powiązać w organizacye zawodowe, polityczno-gospodarcze ze stosownie ukształtowanem przedstawicielstwem politycznem. Wogóle układ stanowy jest ostatnim wyrazem zachowawczości społecznej. Zamiast szablonowego wykształcenia ogólnego, niech nastanie stanowo-fachowe; zamiast jednostajnej a równoprawnej postaci obywatela, niech ukaże się różnobarwna mozajka stanowców; zamiast bezwględnej wolności działań ekonomicznych — oddanie jednostki pod władzę korporacyj zawodowych. Naturalnie to wskrzeszenie stosunków średniowiecznych musi liczyć się z warunkami tegoczesnej chwili. Dawniej właściciel ziemski był ekonomicznie jednostką niezależną, dziś zmuszony jest do połączenia się w związki powiatowe i prowincyonalne dla przeprowadzenia różnych ubezpieczeń; cech nie wybiegał ongi po za miasto, obecnie winien się zamienić na korporacyę co najmniej okręgową; wielcy przedsiębiorcy niegdyś stali niezależnie od siebie, teraz każdy zawód musi się łączyć w kartel odpowiedni... Równoprawność obywateli wraz z powszechnem głosowaniem zginą, istnieje tylko przedstawicielstwo stanowe. Taka organizacya społeczna, gdzie każdy posiada jasno zakreślone miejsce, gdzie wszelka niepewność jutra została zniesiona już wskutek pohamowania skutków maszyny, to znowu drogą wzajemnego stanowego ubezpieczenia, gdzie niema gorączkowego współzawodnictwa dzisiejszego i nieuzasadnionej a szkodliwej nadziei dojścia jaknajwyżej, taka organizacya społeczna spełni wielkie zadanie dziejowe nowożytnej epoki: przystosuje ustrój prawno-polityczny odpowiednio do wymagań metod produkcyjnych. Co więcej, wywiąże się z tej powinnością na podstawie zachowawczej dzięki właśnie owej mozajce i hierarchii stanów, stanowo-zawodowej oświacie, braku pierwiastków myślowo-rozkładowych...

Tak wygląda ideał francuskich i austryackich społeczników ultramontańskich. Widzimy w nim próbę rozwiązania obecnej kwestyi społecznej stosownie do interesów wielkich właścicieli ziemskich (pierwsze miejsce polityczne) i duchowieństwa. Zależność ta owego wymarzonego ustroju od sobkostwa klasowego wspomnianych grup w powyższym naszym zarysie występuje niewyraźnie; niepodobna nam jednak było zapuszczać się dla braku miejsca w rozmaite drobiazgi, które wyświetliłyby bliżej tę łączność. Ideał ów, odtwarzający według nowożytnej stopy średniowieczne stosunki społeczne, doznał odpowiedniego uzupełnienia w niektórych innych projektach. Chodzi mianowicie o unicestwienie proletaryatu wiejskiego i wytworzenie rolnych a stałych czynszowników folwarcznych z ruchliwego zastępu obecnych najmitów wiejskich, tak, że z feodalizmem fabrycznym zapanowałby też podobny porządek na folwarku. Zresztą wymarzony przez Hitzego i de Muna ustrój wygląda odmiennie wśród innych, dążących do usunięcia obecnego niedomagania prądów zachowawczo - społecznych. Wystarczy, gdy zamiast szlachetków wiejskich i socyologów w sutannie, wystąpi państwo biurokratyczne, a łatwo pojąć, że w ideale zajść winny głębokie zmiany stosownie do klasowego podścieliska nowych rzeczników. Przyjmie on odpowiednią postać biurokratyczną. Zresztą kierunek ten ostatni dotychczas idzie po omacko, bez jednolitego a spójnego planu, lubo w swych środkach zapobiegawczych wciąż zmierza ku marzeniom stanowym. W tym razie dość przyjrzeć się pilniej dotychczasowej pracy Wilhelma II, którego zresztą nie darmo posądzają o sprzyjanie antisemicie Stöckerowi, jednemu z najwybitniejszych i świadomszych przedstawicieli nowoczesnej stanowości i feodalizmu przemysłowego. Naturalnie, niepodobna wyrzec, ile jest w działalności młodego cesarza błąkania się po omacku, a ile pierwiastków świadomych; lecz niektóre próby dają wiele do myślenia. Ciekawa rzecz, jak dalece podążą w tym kierunku zamiary wyrażone w dekrecie, choć wątpimy mocno o dodatnich zachowawczo skutkach wobec postawy partyi najmickidj. Że zmierzają one ku organizacyi stanowej, rzecz ta nie ulega — zdaje się — wątpliwości, lubo i w tym razie biurokratyzm, to dziecko niwelacyi kapitalistycznej, może wypłatać figla. Co więcej, dekrety z konieczności prowadzą ku dalszemu ideałowi zachowawczych społeczników — uregulowaniu produkcyi. Jeżeli warstwa robotnicza występuje z żądaniami międzynarodowego prawodawstwa, nie dba o skutki tych reform dla kapitalistów i niech całe nawet gałęzie przemysłu zbankrutują, to ją mało obchodzi. Odpowiednio w bezrobociu pierwszego maja zamierza ona żądać wszędzie jednakich reform. Inaczej jednak spra-

*) W przeszłym roku odbył się np. drugi zjazd społeczników katolickich Austryi, t. z. *Katholikentag.*

wy stoją, kiedy z stosownym projektem występuje państwo. Musi ono bronić interesu swoich kapitalistów — nawet w międzynarodowem ustawodawstwie fabrycznem, jak to zaznaczył wyraźnie Wilhelm II. Ustawodawstwo zaś to nie może być w tym razie wszędzie jednakie, jakkolwiek też nie może być znowu niejednakowem. W tej okoliczności spoczywa cała trudność zamiarów państwowych. Przypuśćmy bowiem że w Anglii i Niemczech przeprowadzono np. jednaki dzień roboczy. Wtedy angielskim przemysłowcom, którym podcięto już przez odpowiednie ustawodawstwo skrzydła bardziej niż niemieckim, daną zostanie szczególna premia w współzawodnictwie na rynku wszechświatowym w porównaniu z tymi ostatnimi. Oparcie międzynarodowego ustawodawstwa na jednakiej zasadzie, doprowadziłoby zatem niemieckich przedsiębiorców do ruiny! Niemcy przeto winny żądać niejednakowego dla odmiennych państw ukształtowania owej reformy. Lecz czy różne Anglie i Francye zgodzą się na coś podobnego i pozwolą się w ten sposób rugować z rynków? Przeprowadzanie projektu jest możliwe jedynie wtedy, kiedy przedsiębiorcom oddzielnych krajów zapewnionoby na stałe dawne rozmiary rynku, np. wydzielonoby Niemcom jakieś rynki środkowo-afrykańskie, Anglii — chińskie itd., lub też kiedy przy dostawie na ten sam rynek oddzielne państwo miałoby prawo dostarczyć określony procent towarów (ku czemu winny powstać szczególne ekonomiczne instytucye kontroli). Naturalnie sama ta umowa winna się zmieniać co lat kilka, odpowiednio do stanu rynków. Jest to właśnie świadome regulowanie produkcyi międzynarodowej. Oddzielne państwo ma w ten sposób odcięte rozszerzanie swojej fabryczno-wywozowej produkcyi i musi w dalszym ciągu dojść do jej regulowania pod każdym względem wewnątrz kraju. Zbyteczna nadmieniać, ile w tem wszystkiem nastręcza się trudności praktycznych i rzecz ciekawa, jak one zostaną rozwiązane. Mając właśnie to na uwadze, twierdziliśmy w poprzednim artykule, że dążności Wilhelma II zmierzają ku regulowaniu za pomocą kartelów międzynarodowych samej produkcyi. Porównywając przytem dekrety Wilhelmowskie z dawnemi żądaniami Szwajcaryi, powiedzieliśmy, że chociaż i te ostatnie podyktowane zostały przez interesy przemysłu szwajcarskiego, były wszakże wolne od zamiarów regulowania rynku. Był to błąd z naszej strony, który popełniliśmy, ufając naszej pamięci, lubo przeczył naszym własnym poglądom teoretycznym. Bardzo radzi jesteśmy zatem ze sprostowania, umieszczonego skwapliwie *) w ostatnim numerze *Głosu*, a z którego okazuje się, że rząd szwajcarski pojął przewybornie, iż prawodawstwo międzynarodowe, jeśli nie ma szkodzić interesom kapitału, winno oprzeć się na regulowaniu rynku. Natomiast, wobec tak wyraźnie podniesionego interesu kapitalistów w dekretach Wilhelma II, dziwimy się, że wspomniane pismo nie dojrzało koniecznego związku między tym interesem a regulowaniem rynków, tembardziej że dzienniki niemieckie odrazu to zrozumiały i natychmiast podniosły odnośne następstwa projektu cesarskiego.

K. R. Żywicki.

*) Być może, podziękowanie za uprzejmość jest z naszej strony nie na miejscu wobec tego, że sprostowanie udzielone zostało — w odpowiedziach od redakcyi, a zatem wywołane napewno warunkami zewnętrznymi.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

EPILOG „SPRAWY WADOWICKIEJ.“

I.

W swoim czasie zdejmowaliśmy już raz zasłonę z złośliwego wrzoda, który w postaci słynnej „sprawy wadowickiej“ od lat kilku pod tarczą opieki rządowej nabierał sobie w dolnych częściach organizmu społecznego Galicyi *). Wtedy nakreśliliśmy ów ponury obraz na tle stosunków galicyjskich ze zwierciadła prokuratorskiego — aktu oskarżenia. Teraz, po przerwie niemal połrocznej, z powodu dokonanej operacyi w trybunale wadowickim oraz blizkiego już wyroku, podnieśmy jeszcze raz zasłonę. Nim ciężki aparat sądowy wymierzy karę na twórców wielkiej kolczastej, najeżonej tysiącem nożyc rogatki wyzysku, ustawionej na drodze naszej fali wychodźczej, skorzystamy z faktów wymłóconych dochodzeniem sądowem.

Znamienną cechą procesu wadowickiego jest przewlekłość jego przebiegu, tkwiąca nie tyle w trudnościach technicznych sprawy, według zapewnień korespondentów, ile w dwóch innych czynnikach moralnej treści: w postawie prokuratora (p. Ogniewskiego) względem oskarżonych oraz w nacisku opinii publicznej. Prokurator pchany przez tę ostatnią — i, dodajmy od siebie, podniecony może hańbą sprzedajności władz państwowych, których sam stanowi najpotężniejszy filar — uwziął się w drodze postępowania dowodowego utrzymać wszystkie, najdrobniejsze, zarysy zbrodni, naszkicowanej według danych osiągniętych ze śledztwa. Komu znana jest organizacya współczesnych sądów europejskich, ten wie, że hamulcem zbyt pochopnej do potępień t. z. „sprawiedliwości społecznej,“ uosobionej w prokuratorze jest „ława obrończa.“ Jest ona mocno napiętą sprężyną pośredniczącą między aktem oskarżenia a wyrokiem sędziów i służy do łagodzenia ciosów wymierzanych przez rękę karzącą, czyli inaczej, zdaniem filozofów prawa, jest wcieleniem sumienia zbiorowego, które, dodajmy od siebie, przetłomaczone na język mniej mglisty, znaczyłoby, iż instytucya obrony zawiera w sobie milczące przyznanie „zbrodniotwórczości“ ustroju współczesnego... Otóż nie tyle może w imię tych wzniosłych pobudek, ile w przeczuciu obrażanej przez prokuratora przysługującej im tytułem odnośnych paragrafów kodeksu procedury karnej — kompetencyi, obrońcy w ciągu rozpraw sądowych w ciągłym zostawali zatargu nietylko z p. Ogniewskiem, lecz i z przewodniczącym sądu (p. Lipką). Najzdolniejsi z nich, „cieszący się rozgłosem znajomości prawa, niepospolitej wymowy i bystrości“ (słowa korespondenta), prof. Rosenblat, dr. Goldhammer i dr. Łazarski, przerażeni teroryzmem opinii publicznej, „wytężają wszystkie siły, aby odjąć sprawie ten fatalny rozgłos, jaki jej przypadł w udziale...“ Nielitościwe mniemanie ogólne stanowić będzie wielki szkopuł dla obrony. A jednak ciekawi jesteśmy mów adwokatów, które mają wpłynąć na brzmienie wyroku: prof. dr. Rosenblatt broni Löwenberga i konduktorów kolejowych, dr. Korn — Herza, dr. Łazarski— Klausnera, dr. Iwański — Landau'a, dr. Daniel — Iwanickiego, dr. Goldhammer — Landerera, dr. Cieszyński — Zwilinga (właściciela agencyi bremeńskiej). W skład zaś sędziów przysięgłych wchodzą ludzie następujących stanowisk społecznych: 5 właścicieli realności, 3 gospodarzy gruntowych (chłopów), 1 rzemieślnik, 2 urzędników, 1 restaurator i 2 kupców. Czytelnicy *Prawdy* pamiętają role owych siedmiu oskarżonych w interesie emigracyjnym. Otóż ciekawą będzie komedya przemów obrończych. Ile to np. retoryki musi zużyć p. Rosenblatt w obronie „artystycznego kierownika“ (Löwenberga) sławnej instytucyi wyzysku Herzowsko-Klausnerowskiej? Naturalnie zrobi to w imię uczuć ogólno-ludzkich, w imię determinizmu moralnego, w imię ułomności natury ludzkiej. A dwa serca kupieckie, jedno restauratora, dwa austryacko-urzędnicze, pięć właścicieli nieruchomości, przyrosłe do tych samych warsztatów, które w interesie emigracyjnym działały, może bezwiednie odedrgną na te wezwania wymowne. Tak ślizkie są ścieżki życia współczesnego!.. Tyle pokus w stosunkach galicyjskich!..

*) Patrz *Prawda* z r. 1889, str. 400, 410, 425 i 435.

Ironia moja nie jest jednoznaczną z podżeganiem sądu do surowszego wymiaru sprawiedliwości, byłoby to cofnięciem się na jej niższe pierwotne szczeble z okresu odwetów mściwych. Najmocniej jestem przekonany o tem, że najuporczywsze prześladowania sądowe jeszcze nie wypleniły i nigdy nie zdołają wyplenić zła, warunkowanego zasadniczem ukształtowaniem stosunków społecznych, jak znowu najtroskliwsze wypalania i oskrobywania owrzodzeń powierzchownych nie uleczą od nich ciała, póki je toczy robak choroby wewnętrznej. Środkowi temu przypisać można znacznie skromniejsze rozmiary skuteczności: zmuszenia ludzi do prowadzenia dzieła wyzysku np. w przyzwoity sposób. W społeczeństwach, które dosięgły poziomu dojrzałości, znajdują się środki kiełznające wyzysk w świadomem zespoleniu grup krzywdzonych; udział surowości sądowej pod tym względem u nas—musi mieć niezwykłą doniosłość. Natomiast wytężanie wszystkich sił przez obrońców w procesie wadowickim, dla odjęcia mu „fatalnego rozgłosu,“ pożądanem byłoby w jednym kierunku. W imponującej liczbie 65 oskarżonych aktem prokuratora znajdują się przestępcy rozmaitych stopniowań: od skończonych łotrów (Klausner z pięciu wspólnikami oraz Zwilling), pół-łotrów (agenci i naganiacze), do nieświadomych zbrodniarzy, ślepych narzędzi łupiestwa ludu (konduktorzy kolei państwowej itp.). Zapewne do tej kategoryi stosują się wyrazy sprawozdawcy z sali posiedzeń sądowych: „Znaczna liczba oskarżonych ma wyraz twarzy obojętny i bezmyślny; wielu z nich nie posiada wyobrażenia o tem, czego od nich żądać tu będą i za co odpowiadać mają.“ Znaczna część słabiej oskarżonych pozostawioną jest na wolnej stopie. Tu należą konduktorzy. Los ich był opłakany w ciągu rozpraw sądowych. Chwilowo zwolnieni przez zarząd kolejowy od służby, cierpieli głód i sypiali w barłogach. To ich zmusiło udawać się do przewodniczącego trybunału o zaliczenie ich do rzędu więźniów sądowych. Jeśli więc gdzie, to właśnie względem tej kategoryi oskarżonych najstosowniejszą jest poduszka obrończa pp. Rozenblattów, Łazarskich *et consortes* do odbijania najostrzejszych ciosów przyszłego wyroku.

Swoją drogą, wbrew życzeniom p. Ogniewskiego, rozprawy sądowe, dotychczasowy proces dowodowy, skalę winy postawioną w akcie oskarżenia do pewnego stopnia zmniejszył. Zarzut zrobiony „artystycznemu kierownikowi“ wyzysku, Löwenbergowi, jakoby w zamiarze skuteczniejszego ograbiania wychodźców, dla rzucenia postrachu, przybierał charakter starosty, popierany bałamutnem i niewystarczającem zeznaniem jedynego świadka w tej mierze, straganiarki oświęcimskiej, Tekli Wagowej — upadł. Zapytywany o to przed sądem sam winowajca domniemany odpowiedział z oburzeniem: „To fałsz nikczemny, wymyślony przez moich nieprzyjaciół w Oświęcimiu! Przecież widzi wysoki trybunał, że ja tak źle mówię po polsku, żeby mnie nikt nie mógł wziąć za starostę, a i fizyognomia moja do tego się nie nadaje.“ Odpowiedzią był śmiech homeryczny z sali: Löwenberg jest mężczyzną lat 45, osiwiały, przygarbiony, o twarzy obrzękłej, przedstawiającej wybitnie typ wschodni. Całe świadczenie Wagowej nie dostarczyło pożądanego dowodu, jako oparte w trzech czwartych na tem, co „słyszała od kumoszek.“ Zarzut więc traci podstawy, przynajmniej co do podejrzenia, jakoby wdziewał na się mundur starościński. Zeznania naganiacza wychodźców, rzeźnika z Oświęcimia, Barucha Banda, stwierdzają za to fakt samego przybie-

rania charakteru starosty. Oprócz tego zaś inny zarzut nie mniejszej doniosłości: gwałtów, policzkowań i pozbawiania wolności, ciążący na Löwenbergu, jako też wymuszania na wychodźcach zakupna ordynarnych „ubrań amerykańskich“ wartości 2 złr. za cenę 8 złr. zeznaniem tego świadka mocno został poparty. Gdy w odpowiedź na zapytanie przewodniczącego Löwenberg nazwał świadka potomkiem kryminalistów, niezasługującym na wiarę, ten odrzekł: „Tak? Mnie nie można wierzyć, bom kryminalista? No, to ja panu pokażę, co to jest kryminalista! Świetny trybunale! ja jeszcze ani setnej części tego nie powiedziałem, co mam powiedzieć. Ja dwa dni z rzędu będę mówił i jeszcze nie skończę!“ Co do bicia i policzkowania wychodźców przez Löwenberga w kancelaryi agencyi, inni świadkowie (np. Jakób Kała), ku wielkiemu oburzeniu d-ra Łazarskiego, zgodni są z poprzednim. Kała miał to widzieć z podwórza hotelu „do Zator“ (pomieszczenie agencyi) przez okno otwarte w kancelaryi. Dr. Łazarski wymógł od prokuratora komisyi sądowej wydelegowanej na miejsce, dla sprawdzenia wiarogodności zeznań świadka, za co otrzymał naganę. Niektóre opowieści świadków nacechowane były humorem nieświadomym, którego niestety osią była oskubana skóra chłopska. Jeden z oskarżonych naganiaczy Manele Laufer, szynkarz, zapytany przez prezesa sądu: „co Löwenberg robił w kancelaryi, kiedyś pan tam przyszedł?“ — odrzekł: „Ny, co un miał robić? Un krzyczał grzecznie na wychodźców: widzisz ty, psiakrew, tu na tej tablicy stoi napisane, że bilet kosztuje 110 marek?“ Zarzut popierania zbiegostwa mających wkrótce odbyć powinność wojskową, odpierał Löwenberg faktem, że starosta z Białej, Födrich, przeglądał zawsze wykazy wychodźców, w których zawsze wiek był oznaczony, lecz nigdy nie czynił żadnych im o to uwag. Istotnie sąd sprawdził, że na każdej karcie była wiza starosty: „*vidi* Födrich.“ Ze szczegółów zeznania Löwenberga pada ponure światło na udział władzy rządowej w matactwach spółki Klausnerowsko-Herzowskiej. Wogóle ten dostojnik cesarsko-królewski w świetle zeznań głównych oskarżonych (tak Löwenberga, jak naczelnika agencyi, Klausnera) zarysowuje się coraz lepiej. Ujawniło się np., że pan starosta był najwierniejszym sprzymierzeńcem spólników agencyi, miał nietylko oczy zamrużone na wszelkie ich nadużycia, lecz nawet czynnie i gorliwie popierał działalność tej „niewinnej“ instytucyi. Za to też od protegowanych swoich otrzymywał dowody uwielbienia (stałą pensyę 1,000 złr. rocznie), śniadanka i przezwisko „cadyk.“ W biurze jego ci zacni panowie gospodarowali, jak u siebie.

Również i drugi dostojnik cesarsko-królewski, kontroler urzędu celnego, Iwanicki, coraz lepiej maluje się na tle tej zbiorowej zbrodni. Zarzuty wymierzone mu w akcie oskarżenia, poddane ogniowej próbie postępowania dowodowego, mało co z swej siły uroniły. Grupa świadków oświęcimskich, a zatem tych, którzy byli codziennymi widzami wszelkich gwałtów, dziejących się wychodźcom wewnątrz i zewnątrz hotelu zatorskiego, dostarczyła najważniejszych w tym względzie zeznań: kontroler Iwanicki z nadstrażnikiem Kosteckim oraz siepaczami Landerera sprawowali obowiązki naganiaczy agencyi. Przesłuchanie kilkunastu urzędników komor celnych i kolei pruskich z Oświęcimia, Ziegenhals-Mittelwalde, Katowic i Mysłowic rolę Iwanickiego spełniającą na rzecz łupiestwa wycieniowały ostatecznie. Godłem jego obław, urządzanych na emigrantów było: „Biada tym, którzy nie kupią kart u Herza!“

Jedna tylko kwestya zarzutu oszustwa na sprzedaży kart okrętowych, która przyniosła spółce 32,105 marek dochodu nieprawego, została mało wyjaśnioną. Oskarżeni (Herz i Klausner) winę wyprawiania wychodźców okrętami „Unionu“ (karta 100 marek) za pobraniem pieniędzy na karty „Paketu“ (110 marek), składają na wysyłaczy portowych w Hamburgu. To skłoniło sąd do powołania na świadków dyrektorów oraz pełnomocników towarzystw przewozowych w Hamburgu: Bodenheima, Falka, Henrichsena, Balina i Blausteina. Ludzie ci, z powodu rozpuszczonej pogłoski, jakoby rząd austryacki żywił zamiar uznania ich za współwinnych w matactwach agencyi i uwięzienia — nie zjawili się, wystawiając tem trybunał wadowicki na kłopot, a p. Ogniewskiego na nowy zatarg z obrońcami. Pod naciskiem tych ostatnich, zgodzono się owych świadków przesłuchać później. Natomiast zeznania w tym przedmiocie złożone przez niejakiego Thona zarzut oszustwa na cenach biletów okrętowych w wysokości 32,105 marek mocno osłabiły. Cała wina spoczywać ma na ekspedyentach hamburskich.

Herz, były „król oświęcimski,“ badany o wyjaśnienie licznych pozycyj w księgach odnośnie do żandarmów, np. „Federbusch,“ „Feder,“ „Fdb.,“ „Grüne Leute“ i „Rothe Leute,“ nie umiał wyjaśnić: były to zapewne wyskoki dobrego humoru buchhaltera Gutmana. Szczęście — bo inaczej, ci ludzie, tak pochopni do łapówek i skóry chłopskiej, jak nic, wyskoczyliby ze swych wygodnych siodeł a zasiedli na ławie oskarżonych, czego im mocno możnaby życzyć... Zanim zapadnie wyrok, roztoczmy jeszcze kilka obrazów poświęconych samym ofiarom dzisiejszych oskarżonych.

Z. Atanazy.

O WYSTAWIE PARYSKIEJ

ze stanowiska inżenieryi i przemysłu.

IV.

Wobec tego, cośmy powiedzieli wyżej, czytelnicy nie mogą się spodziewać wynalazków nowych, postępów olbrzymich. Nie dała ich wystawa obecna, z bardzo małymi wyjątkami, więc nie może być ich w opisie. Procesy techniczne, które znalazły wyraz w wieży Eiffla i Pałacu maszyn, znamionują pewną dobę techniczną, która na poprzednich wystawach nie miała nic sobie równego. Te procesy jednak rozproszone są w masie ulepszeń i wynalazków metalurgicznych i mechanicznych, lecz czegoś dostępnego dla szerszych kół przemysłowych w tej formie, jaka się ukazała na wystawie, to jest w postaci olbrzymich budowli — nie stanowią. Olbrzymy te przedstawiają przeciwnie objaw sporadyczny; z rynkiem przemysłowym i handlowym całego świata chwilowy, miejscowy i jednorazowy tylko mają związek — i dziś już, po zamknięciu niedawnem wystawy można powiedzieć, że tak na rynek wszechświatowy oddziałają, jak piramidy egipskie na cholerę *).

Pomimo to jednak, że pod względem wielkich postępów technicznych wystawa 1889 r. nie dorównywa poprzedniczkom — nie jest od nich mniej doniosłą.

Wielką jej zasługą jest umożliwienie szerokim kołom specyalistów poznania granic techniki społczesnej.

Nawet kończącym wyższe zakłady techniczne nie zawsze wiadomo, do jakich rozmiarów, największych lub najmniejszych, doszły te lub owe przyrządy. Posuwanie bowiem owych rozmiarów i siły, w tym lub owym kierunku, jest najczęściej rzeczą praktyki, lecz nie teoryi. Nie dawno zajmujący wybitne stanowisko urzędowe technik spytał nas, czy istnieją maszyny parowe stałe o sile 1,000 koni. Nieznajomość praktykowanych granic w mechanice prowadzi częstokroć techników do bezsensownych prób i usiłowań. Sądzę przeto, że nietylko dla szerszego koła czytelników, lecz zarazem dla techników pożyteczne będą poniższe szczegóły o największych lub najmniejszych wytworach przemysłu, które oglądaliśmy na wystawie. Chcemy właśnie zestawić w jednym szeregu owe olbrzymy z różnych gałęzi techniki, bądź to w naturze, bądź w rysunkach lub modelach pokazane światu na wystawie. Pod ogólną nazwą „olbrzymów“ rozumiemy największe wymiary, największą siłę, największą ilość obrotów, największą wydajność, największy ruch, największą szybkość wykonania, najdłuższą służbę, i odwrotnie zaznaczymy najmniejsze przyrządy. Wyrzec się musimy podawania wytrzymałości materyałów, pomimo że w tej gałęzi, to jest w metalurgii, świeże postępy są znakomite.

Firma angielska Greenwodd et Bathley z Leeds wystawiła warsztat tokarski zrobiony w ciągu 6 miesięcy na zamówienie dla fabryki Schneidera (Creuzot). Służy on do toczenia i wiercenia wielkich wyrobów stalowych, mających wagi 6,000 pudów lub więcej; waży on przeszło 20,000 pudów. Firma owa wykonała kilkanaście takich warsztatów dla największych fabryk angielskich i kontynentalnych, oraz dla trzech arsenałów: petersburskiego, kadykskiego i kianangskiego (Chiny). Fakt, że taki olbrzym zrobiony został w pół roku, daje pojęcie o środkach fabryki.

Obok tego warsztatu pod względem rozmiarów można postawić maszynę Cockerilla (Seraing, Belgia) i jeszcze parę zaledwie maszyn, które również zwracały powszechną uwagę z powodu wielkości.

Cockerill zrobił na zamówienie Południowo-rosyjskiego — dnieprowskiego-metalurgicznego Towarzystwa (pod Ekaterynosławiem) tę maszynę do wdmuchiwania powietrza w wielkie piece. Jest to już przeszło 150-ta maszyna tego gatunku, wykonana przez tę fabrykę. Ponieważ cylindry jej są stojące, więc zajmuje, na wysokość, przestrzeń trzech piętr domów naszych.

Ta sama firma okazała model windy hydraulicznej (inaczej dok hydrauliczny) ustawionej w Louvière, w Belgii, na kanale zwanym Canal du Centre i podnoszącej 70,000 pudów na wysokość 15¼ metrów.

Podobną windę (*ascenseur*), w modelu, wystawiła firma „Anciens Etablissements Cail“ (Paryż-Douai-Denain). Pochodzi ona z Fontinette, ustawiona na kanale de Neufossé w Arques, departamentu Pas-de-Calais. Każda jej prasa hydrauliczna podnosi po 48,000 pudów na wysokość 13 metrów. Oba powyższe doki hydrauliczne zastępują na kanałach śluzy: ostatni, np., zastępuje 7 śluz. Statki, zamiast przechodzić przez kilka przedziałów kanału, z których pierwszy ma poziom wody różny od ostatniego o 13 lub 15 metrów, podnoszone są w takim doku hydraulicznym odrazu do żądanego poziomu. Urządzenia te świadczą, jakie znaczenie ma droga wodna, dla których nie szczędzono podobnych robót. Nasze drogi wodne i kanały nie mają nic równego.

Firma Joseph Farcot (Saint-Ouen, dep. Sekwany) dała poznać największą w świecie pompę rotacyjną. Na godzinę wyrzuca ona 33 milionów litrów wody do kanałów Dolnego Egiptu w Khatatbek, gdzie pięć takich pomp jest ustawionych w celu nawadniania pól. Oprócz wymiarów, dosięgających wysokością półtora piętra, posiada pompa owa wielką wydajność we względzie siły użytej do wprawiania jej w ruch. Ten rodzaj pomp, uważany za niepraktyczny, z powodu znacznej, pochłanianej przez się pracy motoru, dał się jednak zastosować na tak olbrzymią skalę. Udoskonalenia

---

*) A. Horodeński „lekarz I klasy“ w broszurze (p. t. *Jak rozumieć cholerę* itd.), wydanej w 1853 r. w Warszawie i poświęconej Józefowi Mianowskiemu, zapytuje: „Któż to wiedzieć może, dlaczego stanęły piramidy egipskie?“ I odpowiada: „Aby łamały siłę wiatrów,“ a te nie przynosiły cholery do Egiptu.

jej datują się od zastosowania do kanalizacyi Paryża.

Pas rzemienny paryskiej firmy A. Domange (dawniej Scellos) przenieść jest w stanie siłę 800 koni parowych. Ten olbrzym ma 2 metry szerokości i 2 centymetry grubości.

Pas z lin drucianych, wdowy po Adolfie Stein z Milhuzy zastosowany do wind wieży Eiffla daje się rozerwać, dopiero, przy użyciu siły 8,000 pudów. Winda zaś, ze 100 pasażerami, mogła ważyć najwyżej 800 pudów. Z ciekawością publiczność przyglądała się wielkiej linie z aloesu, napojonej smołą, tejże firmy. Waży ta lina-taśma prawie 500 pudów, a ma długości 670 metrów.

Największe dzieło, wystawione przez ministeryum marynarki, ważyło 4,100 pudów; waga pocisku wynosi 28 pudów, jego średnica—30 centymetrów; szybkość początkowa — 700 metrów na sekundę, a donioslość — 20,000 metrów. To znaczy, że pocisk, ważący 28 pudów, wyrzucany jest na odległość 20 wiorst i na początku swego biegu robi prawie $^3/_4$ wiorsty na sekundę.

Największą szybkość pociągów osiągnął niejaki Estrade, którego system lokomotyw i wagonów posiada tak wielkie koła, że trzecia klasa mieści się pomiędzy kołami pod osią. Osiągnięta największa szybkość 107 kilometrów (prawie tyleż wiorst), na godzinę, nie wynagradza wszakże wad i nie równoważy zarzutów, jakie temu systemowi zrobić można z wielu względów. Odpowiadają celowi lokomotywy belgijskie, np. Cockerilla *), zbudowane dla ciężkich a zarazem najszybszych pociągów pasażerskich, kursujących między Ostendą a granicą niemiecką. Osiągają one 95 kilometrów na godzinę. Zaznaczyć musimy, że lokomotywy dla takiej szybkości i pociągów ciężkich (9,000 pudów) muszą ściśle odpowiadać swemu zadaniu, to jest na danym profilu w najtrudniejszych miejscach nie podnosić obniżeń ciśnienia pary i braku wody. Nasze koleje żelazne, przy zwykłych warunkach, rzadko posiadają lokomotywy czyniące zadość temu zadaniu i wszystko polega na wysiłkach maszynisty.

Jako przykład szybkości obrotów zaznaczam maszyny parowe systemu Armington-Simsa, o 350 obrotach na minutę. Firma wyrabia je o sile od 10 do 100 koni parowych.

Zdumiewające są dane przedstawione przez „Atelier de Pensylvania Railroad" w Altonie Ameryki północnej, dotyczące szybkości, z jaką w tych zakładach montowana jest lokomotywa. Z pojedynczych kawałków metalu powstała tam lokomotywa w ciągu 16 godzin i 50 minut. Fotografie w różnych stadyach roboty ilustrują powstawanie wozu, kotła i maszyny.

Przegląd olbrzymów mechaniki zamykamy wzmianką o największych motorach parowych, elektrycznych i wodnych.

Parowe maszyny (stałe) były przeważnie średnie, o sile 500 koni, i kilka z nich właśnie uważamy za najciekawsze (np. Schneidera) pod względem pomysłu i wykonania; lecz było kilka machin o sile 1,000 koni parowych — np. piękna maszyna firmy Farcota. Zaznaczyć musimy, że dla okrętów wyrabiane są machiny o sile przeszło 14,000 koni parowych.

Największa w świecie i na wystawie maszyna dynamo-elektryczna firmy Marcela Depreza — odpowiadała sile 500 koni parowych.

Wreszcie pomiędzy rysunkami szkoły centralnej można było widzieć turbinę o sile 1,500 koni zbudowaną przez inżeniera A. Bergésa, pod spadkiem wody 500 metrowym.

A. Pawłowski.

*) Lokomotyw doskonałych było na wystawie wiele.

BADANIA NAUKOWE.

Z HISTORYI MAGNETYZMU I HYPNOTYZMU *).

Historya magnetyzmu zwierzęcego jest jednym z jaskrawych dowodów tej prawdy, że sądy nasze nie są najczęściej wynikiem krytycznego i bezstronnego zestawienia świadectw i faktów szczegółowych na korzyść pewnego twierdzenia lub przeciwnych mu, lecz że wypływają one raczej z całokształtu naszego pojmowania świata. Jesteśmy równie skłonni przyjąć jakieś mniemanie najsłabszymi poparte dowodami, jeśli ono odpowiada naszym zapatrywaniom, jak nie mniej zaprzeczyć najskrupulatniej udowodnionemu, jeśli ono zostaje z niemi w sprzeczności. Cechą wspólną wszystkich poglądów na świat jest ich racyonalizm; to znaczy, że wszystkie one płyną z wiary w zupełną prawomocność rozumu do rozstrzygania zagadnień wiedzy bez oglądania się na jakiekolwiekbądź powagi. Mimo to w ukształtowaniu swojem bywają one bardzo różne, a w każdej epoce można zaznaczyć pewien prąd myśli, panujący nad innymi, stanowiący jakby atmosferę duchową epoki.

Takim przeważającym prądem w końcu XVIII w. był materyalizm.

W całej filozofii tego stulecia, wbrew twierdzeniu Buckle'a, widzimy tylko dedukcye z pewnych założeń ogólnych, z góry powziętych; przytaczane fakty służą tylko za przykłady, uwydatniające myśl, która sama zawsze płynie z pewnych zasad.

Jakkolwiek Messmer, zgodnie z duchem czasu, starał się wytłomaczyć oddziaływanie magnetyczne pośrednictwem pewnego płynu subtelnego, tj. w sposób zupełnie materyalny, to jednak cała jego teorya o wpływie ciał niebieskich na istoty zaludniające ziemię, o peryodyczności faz historyi i objawów chorobliwych w zależności od okresów astronomicznych zanadto przypominała tak niedawno jeszcze wyśmianą astrologię i wierzenia ludowe. Zresztą mało kto wiedział o jego teoryi; najwięcej uderzało wszystkich jego uzdrawianie zapomocą dotknięcia lub z odległości, a nawet oddziaływanie przedmiotów, którym udzielał potęgę tajemniczą. Łatwo zrozumieć, że opowiadania o podobnych faktach, przypominających cuda, spotykały niechęć ze strony najbardziej oświeconych ludzi tej epoki, w której dziwy biblijne starano się wyjaśnić oddziaływaniem znanych czynników fizycznych, w której wszystko, co przypominało siły tajemnicze, odrzucano jako szarlatanizm.

Istotnie, podstawę doktryn materyalistycznych stanowi zasada, że wszelka siła nierozerwalnie związana jest z materyą, że może być przeniesiona tylko przez pośrednictwo materyi. Czynności duchowe uważane są jako pewien objaw sił fizycznych, właściwych bądź atomom (hylozoizm), bądź pewnemu skomplikowanemu ich układowi, bądź materyi ciągłej, ale zawsze są podporządkowane materyi. Działanie więc, w którem niepodobna było uwydatnić jakiegokolwiek przeniesienia cząstek materyalnych, owszem, w którem wynurzał się wprost wpływ woli na fizyczny stan organizmu i przy tem woli tylko pewnej jednostki (tj. magnetyzera), było w wysokim stopniu sprzeczne z materyalistycznem pojmowaniem świata i musiało zrażać umysły, tem bardziej, że objawiało się w warunkach bardzo przypominających świeżej pamięci naówczas czarodziejstwo i niekoniecznie świadczących o bezinteresowności eksperymentatora.

*) Ochorowicz, *Odczyty o hypnotyzmie i magnetyzmie*. Petersburg, 1890.

Nie zadziwi więc nas, że Akademia i fakultet lekarski w Paryżu uporczywie traktowały Messmera jako szarlatana i wzbraniały się wszelkiego sprawdzenia jego doświadczeń. Nie zdziwi nas, że komisya, wyznaczona przez rząd, do której należeli tacy uczeni, jak Lavoisier, Franklin, Bailly, chętniej przyjmowała najbardziej naciągane tłomaczenia faktów, niżby się miała zgodzić na przyznanie magnetyzmu i że tylko ludzie wyjątkowo bezstronni i metodyczni, do których należeli Jussieu i Laplace, okazywali wielką ostrożność. Jako wzór zupełnie naukowego traktowania przedmiotu możemy przytoczyć następne zdanie Laplace'a: „Jesteśmy jeszcze tak dalecy od znajomości wszystkich czynników natury i różnych sposobów ich działania, że byłoby niefilozoficznem przeczyć istnieniu zjawisk dlatego tylko, iż nie dają się wytłomaczyć w obecnym stanie naszej wiedzy."

Inaczej zachowały się szersze koła publiczności; ogół w XVIII w. nie był mniej łatwowiernym wobec magnetyzmu, niż w wiekach średnich wobec czarodziejstwa. Pociąg do cudowności i tajemniczości, tak słusznie wytykany ludziom przez filozofów XVIII w. ściągał tłumy do „korytka" Messmera; ale nietylko pacyenci, cisnęli się do niego i uczniowie, w liczbie których było nie mało lekarzów. Ich to D'Eslon i Donglée zasługują na wzmiankę z powodu odwagi, z jaką powstali przeciw potępiającemu wyrokowi fakultetu. Uczniowie (po skończeniu kursu każdy z nich zobowiązywał się do tajemnicy i nie mógł bez upoważnienia Messmera udzielać swych wiadomości innym) utworzyli „Towarzystwo harmoniczne." Wielu stosowało magnetyzm praktycznie w Paryżu i na prowincyi.

Tymczasem z przemianą w życiu politycznem, która zaszła po wielkiej Rewolucyi, nastąpiła reakcya w pojmowaniu świata przeciw wyłączności rozumu na korzyść innych władz umysłowych. Następstwem jej był bujny rozkwit filozofii idealistycznej. Zmiana poglądów odbiła się we wszystkich dziedzinach umysłowości, wywołując spotęgowanie religijności, romantyzm w sztuce, doktryny moralności intuicyjnej na miejsce utylitaryanizmu przeważającego w drugiej połowie XVIII w. itd.

Nastąpił czas pomyślniejszy dla magnetyzmu *). Idealizm, który taki nacisk kładzie na potęgę ducha, że materyę uważa za jego wytwór, nie mógł się zrażać objawami tej nadzwyczajnej siły duchowej, tego wpływu władz psychicznych na organizm fizyczny.

Jakoż gdy w r. 1825 dr. Foissac udał się z listem do Akademii, prosząc o sprawdzenie jego doświadczeń nad magnetyzmem, przyjęto go inaczej, niż Messmera. Akademia wyznacza z początku komisyę dla rozważenia, czy wypada zająć się magnetyzmem, a po przychylnym wyroku jej, mianuje dla zbadania samego magnetyzmu inną, która po pięcioletnich studyach daje odezwę jednomyślnie przychylną.

Doktryna zyskuje wielu zwolenników śród lekarzy i w szerokich kołach społecznych; trwa to mniej więcej do nowego przełomu w poglądach. Przełom ten odbywa się stopniowo pomiędzy 1840 a 1848 rokiem, jako reakcya przeciw idealizmowi filozoficznemu i rozbudzenie sceptycyzmu, po roku zaś 1848 jako odnowienie materyalizmu XVIII wieku w jego najniekrytyczniejszych formach (Büchner, Vogt). Widzimy też i zmianę w zachowaniu się wobec hypnotyzmu i magnetyzmu: komisya Akademii, wyznaczona na wniosek dr. Berna,

*) Puységur, który wykrył stan sonambulizmu sztucznego i którego dzieło (*Recherches etc. sur l'homme dans l'état de somnambulisme naturel etc.*, 1813) najwięcej przyczyniło się do ożywienia ruchu magnetycznego w tym czasie, był równocześnie jednym z najwybitniejszych przedstawicieli reakcyi filozoficznej przeciw materyalizmowi XVIII w.

zaprzecza wszystkiemu; Akademia w 1840 postanawia nie zajmować się zagadnieniami magnetycznemi *).

W tej epoce zajęcie się magnetyzmem ustaje; nieliczni tylko lekarze i fizyologowie robią próby; ale i tu występuje on już w postaci hypnotyzmu, którą mu nadał Braid w dziele p. t. *Neurohypnology* (1882). Pojmowanie magnetyzmu jest tu zgoła materyalistyczne a raczej sensualistyczne. Nie chcąc przyznać wpływu myśli i woli udzielającego się bez pośrednictwa zmysłów (tj. widzialnych gestów lub wyrazów), szuka on w samym pacyencie źródła stanu somnambulicznego i odkrywa je w znużeniu, wywołanem przez skupienie uwagi na jeden przedmiot, np. przez patrzenie uporczywe na guzik błyszczący itd.

W takiej skromnej postaci zapisywano te fakty w podręcznikach fizyologii, dopóki nowy zwrot w umysłowości Europy nie spowodował ponownego zajęcia się magnetyzmem i odkrycia tego, co już po kilkakroć było odkrywane i zapominane. Zwrot ten następuje w ostatnich latach szóstego dziesiątka bieżącego stulecia, kiedy poważna literatura filozoficzna powraca do Kanta, ażeby wychodząc z jego stanowiska, utrwalić filozofię na podstawach krytyki i teoryi poznania; wiara w bezgraniczną potęgę poznania zaczyna upadać i wśród przedstawicieli wiedzy ścisłej występują jednostki traktujące *o granicach poznania*, jak Du Bois Raymond w swoim głośnym odczycie z r. 1872. Hypnotyzm w pracach Czermaka (1873), Prayera (1878), Richeta (1875), Charcota (1878) występuje pod tą postacią, pod jaką jest dziś powszechnie znany. W ciągu ostatnich lat dziesięciu wyszło kilkaset książek i broszur, traktujących ten przedmiot naukowo, a widzimy stąd, że zajęcie się nim publiczności jest bardzo znaczne.

Ta historya magnetyzmu i hypnotyzmu opowiedziana przez p. Ochorowicza jest pouczającą z tego względu, iż wykazuje, w jaki sposób przyjęcie lub nieprzyjęcie faktów spostrzegania zależy od całokształtu pojmowania świata; w wahaniach, jakie odbywa doktryna magnetyzmu, widzimy wpływ bezpośredni wahań myśli filozoficznej odpowiednich epok. P. Ochorowicz nie chce ich dostrzedz, jakkolwiek przyznaje, że o faktach zapominano i znowu je odkrywano, że zatem w rozwoju nauki o magnetyzmie nie było ciągłości. W dziejach tej dokryny widzi on tylko dwie rzeczy, z których jedna „smutna, a druga pocieszająca.“ Smutnem jest to, że gdy nowa idea, przeciwna panującej rutynie, zjawia się między ludźmi — zamiast zbadać ją chłodno... ludzie obrzucają ją błotem. „Pocieszającem zaś to, że „prawda nie ginie.“ Opór przeciw magnetyzmowi kładzie p. O. na karb samolubstwa i obskurantyzmu lekarzy. Nie przeczymy, że te dwa czynniki miały swoje znaczenie, ale nie tłomaczy to wcale, dlaczego Akademia z r. 1825 była mniej interesowną i mniej rutyniczną, niż Akademia z r. 1778 i 1840. Zresztą cały wykład jest poniekąd oskarżeniem medycyny i lekarzy, zanadto nacechowanem osobistą ku nim niechęcią.

Trzeci odczyt, obejmujący klasyfikacyę różnych stanów hypnozy i somnambulizmu, nie należy tu do nas. Zauważymy tylko, że dziwną nam się wydaje cechująca go wiara optymistyczna w samouzdrowienie organizmu, co niegdyś lekarze nazywali *vis medicatrix naturae*. Wszelki krok czynny lekarza ku usunięciu objawów chorobliwych za pomocą środków terapeutycznych zwyczajnych uważa autor za szkodliwy, bo zakłócający normalny przebieg choroby, która niby zawsze dąży do zbawczej zmiany organizmu reakcyi; natomiast oddziaływanie za pomocą magnetyzmu ma być zawsze dobrem, gdyż tylko „pomaga“ naturze i daje to, czego organizm potrzebuje. Wogóle wynurzenia terapeutyczne autora zdradzają zupełną nieznajomość patologii naukowej, przypominając dawno zapomniane teorye i fantazye lekarskie.

K.

*) Fakt ten jest pominięty w rozprawce p. Ochorowicza.

LITERATURA I SZTUKA.

LISTY WIEDEŃSKIE.

20 lutego.

(Zapusty sztuki).

I sztuka ma karnawał w Wiedniu. Corocznie przerywają tu najpoważniejsi artyści swe zwykłe czynności i tworzą komitet, zajmujący się przygotowaniami do wielkiego balu kostiumowego. Nie są to zwykłe zajęcia komitetowe, lecz prace artystyczne wielkich rozmiarów. Ponieważ zaś zeszłego roku zachowywano żałobę po arcyksięciu Rudolfie, przeto tem większe zainteresowanie rozbudził bal tegoroczny, który stanowił istotnie olbrzymią wystawę sztuki humorystycznej. Podczas gdy przed dwoma laty wyobraźnia artystów sięgnęła w przyszłość i przedstawiła plastycznie postępy techniki w XX stuleciu, tym razem zwrócono się ku przeszłości. Świeżo jeszcze tkwiło wszystkim w pamięci otwarcie muzeum historycznego i przyrodniczego; postanowiono więc w dekoracyi sal i w kostiumach przeprowadzić myśl rozwoju miasta Wiednia od czasów najdawniejszych aż do najnowszych, a balowi nadano tytuł: „Wiedeń od okresu kamiennego do okresu papierowego.“ Krótki opis okaże, jaki kapitał pracy wkładają artyści wiedeńscy w tę zabawę; to zaś, że cały Wiedeń zajmuje się nią bardziej może, aniżeli wystawami sztuki poważnej, wypływa z charakteru jego mieszkańców; zresztą zjawisko podobne powtórzyłoby się wszędzie, gdzieby urządzano takie zabawy. Za miejsce dla nich służy Künstlerhaus, budynek jednopiętrowy o licznych salach i pokojach mniejszych. Zaraz w pierwszej sali umieścił się duży obraz: jaskinia starogermańska. W głębi trzy olbrzymie, dzikie postacie siedzą około pnia ściętego i grają w karty. Już sam wesoły anachronizm czyni tych starożytnych teutonów mniej strasznymi, ale tracą oni grozę do reszty, kiedy dostrzeżemy, że olbrzymy te złożone są z wypchanych pończoch. Krokodyl otwiera paszczę ponad ich jaskinią; dalej nieco ogromny słoń, którego tylna część jest namalowaną, przednia zaś występuje ze ściany, ruszając trąbą, w której mieści się mechanizm automatyczny. Las dziewiczy wiedzie nas do sal dalszych, w których wyobrażono wnętrze domu prefekta rzymskiego za czasów, kiedy Vindobona kwitnęła. Do wspaniałego atrium przypierało z jednej strony *triclinium*, z drugiej *lasarium*, a na przedzie mieściło się otwarte *tablinum*, przed którem rozpościerała się dekoracya, przedstawiająca widok Wiednia za czasów rzymskich. Dalej pokoje mniejsze, urządzone w stylu romańskim, jako ilustracya wieków średnich. Z pokojów tych wchodziłeś do wielkiej sali, czyniącej wrażenie placu miejskiego: cztery jej ściany obwieszone były dekoracyami, które wyobrażały dawne domy, otaczające placśw. Szczepana. Tum przedstawiony był w stadyum, kiedy wieża, do połowy wzniesiona, otoczona jeszcze była rusztowaniem; przed tą malowaną katedrą straganiarki w budach drewnianych, ustawionych wśród sali, sprzedawały towary. Cykl ilustracyj architektonicznych kończył się w największej sali Künstlerhausu, której cztery ściany przedstawiały widok na Wiedeń dzisiejszy z Belwederu. Prawdziwem arcydziełem malarstwa dekoracyjnego był sam gmach Belwederu, a widok Wiednia w kotlinie, pokrytego lekką, niebieskawą mgłą, porywał pięknością swą nawet na płótnie.

W dwu innych salach mieściła się wystawa obrazów humorystycznych. Były tam olejne, pastele i akwarele większych i mniejszych rozmiarów, wykonane pobieżnie, lecz wszystkie niemal z wdziękiem ujmującym. Artyści karykaturują tu własne maniery, wykonywają w nich pomysły humorystyczne lub zabawki artystyczne, obliczone na złudzenie. Księgarz Baumüller i malarz Hofmann ułożyli humorystyczny katalog tych obrazów, które licytowano na balu. Oto parę próbek. Słynny malarz Allemal Dastema *) przedstawił „Śmierć Cezara.“ Na dnie głębokiego korca widzimy wielki plac wolny. w jednym kącie widnieje brzeg nóg umierającego Cezara, w drugim podeswy uciekających spiskowców. Pani Wiesinger namalowała łąkę, po której kroczą obok siebie dwa długie szeregi białych istot. Skoro bliżej przypatrzymy się szeregom, w jednym poznajemy gęsi, w drugim pesyonarki. Mistrz „Böcklein“ naszkicował „rodzinę tęcz w żałobie,“ przedrzeźniając manierę słynnego szwajcara Böcklina. Mnóstwo też w galeryi tej obrazów uzupełnionych dodatkami plastycznymi, które niesłychanie potęgują złudzenie. Koń namalowany, a jedzący z worka prawdziwego, wygląda jak żywy. Dwa wielkie portrety wyobrażają „okres papierowy“ i „okres kamienny.“ Na pierwszym widzimy giełdziarza, trzymającego w palcach prawdziwy, drukowany numer gazety giełdowej; na drugim — żonę jego, ozdobioną olbrzymimi brylantami fałszywymi, nasadzonymi plastycznie na szyi jej i ramionach. Najwdzięczniejszym okazem w tej kategoryi, a zarazem najpiękniejszym obrazem na wystawie jest pastel, wyobrażający pokojówkę, która czyści szybę okienną. Na pierwszy rzut oka przysiądzby można, że to życie, nie sztuka. Bardziej jeszcze trzeba było podziwiać techniczną zręczność artystów w salach „muzeum historycznego,“ wypełnionych mnóstwem przedmiotów zestawionych z kłaków, gałganków, drewien i starej blachy. Udział polaków w odsieczy Wiednia dał tu artystom temat do kilku igraszek. I tak naprzód ustawiono przepyszny kostium króla Sobieskiego, będący prawdziwem arcydziełem krawiectwa teatralnego. „Ze spuścizny pierwszego kawiarza wiedeńskiego,“ Kulczyckiego, wystawiono turecką armatę ręczną, której główną częścią składową był młynek do kawy. Wyborne były rynsztunki rycerzy wojen krzyżowych, ułożone z blaszanych nakrywek, hełmy zrobione z lejków i mioteł, chorągiew Mahometa, łuk Wilhelma Tella, karabin Joanny d'Arc z zamkiem od drzwi. perspektywa hr. Starkemberga z r. 1683. złożona z blaszanych szklanic do piwa, zagadkowa broń, którą Tyberyusz polował — itd.

Cały ten labirynt sal wypełniły tłumy gości kostiumowanych z wiernością historyczną. Widziano grupy hunów, które z dzikim hałasem biegały lub szturmowały do pierwszego piętra; liczne towarzystwo rzymian i prześlicznych rzymianek urządzało sobie ucztę w domu prefekta. Na dawnym placu św. Szczepana grała orkiestra jarmarczna, a cała karawana turecka wyprawiała harce lub popisywała się „narodowymi“ tańcami tureckimi. Widząc nieprzejrzane te tłumy rosłych mężczyzn i uroczych kobiet w malowniczych, przepysznych kostiumach, można było poznać piękność rodu ludzkiego, a zarazem przekonać się, jak dalece czas nasz i moda oszpeca wrodzoną tę piękność, a o ile dawniej umiano potęgować urok postaci i twarzy ludzkich.

Stwosz.

*) Jest to przekręcenie imienia Almy Tademy, które brzmi w przekładzie „zawsze ten sam temat.“

TEATR.

Moje maluczkie jak znudzone
jest tym wielkim światem.
Porcya w *Kupcu Wen.*

Gdybym na pytanie: co to jest sztuka dramatyczna w obrębie naszego repertuaru, chciał dać odpowiedź obrazową, wybrałbym dla porównania budynek cieplarniany, w nim kilka egzotycznych roślin o pachnących kwiatach i mnóstwo chwastów pospolitych a niepokaźnych, którym dziwactwo ogrodnika przeznaczyło nietylko miejsce obok pierwszych, lecz w dodatku ozdobne wazony. W cieplarni tej, jak każdej innej, panuje wieczny zaduch, a choć czasem jeden z pięknych kwiatów udzieli mu nieco woni, słodycz jej nie zastąpi jednak dla piersi fali świeżego powietrza i nie zaspokoi tęsknoty do zdrowych zapachów, spływających z od-dechem lasu, łąki lub ziemi wiosennej. W takiej dusznej siedzibie wahadło repertuaru odbywa ruch swój powolny, nieposuwający sceny naprzód i niecofający jej w tył. Najwyższym wzlotem sięga ono z jednej strony do garstki egzotycznych roślin, będących zabytkami z lepszych dla literatury dramatycznej czasów, a które obejmiemy nazwą książkowego dramatu i tragedyi, stąd, opadając, wkracza między liche ziela spółczesnej komedyi, odzwierciedlającej mieszczaństwo i dla niego przeznaczonej, a z przeciwnej strony dochodzi do najgorszych chwastów farsy.

Gdym przed kilkoma miesiącami na cały ten długi przeciąg czasu z piórem się rozstawał, wahadło sceniczne dobiegało do gromadki roślin egzotycznych. Zapowiadano *Fedrę*. W zaduchu cieplarnianym rozszedł się mdły zapach pseudo-klasycyzmu, przypominający nosowi pospolitemu — perfumy, a pamięci — *noblesse*'ę dworu Ludwika XIV, zasłuchaną w muzykę wierszy Racine'a, spływających, jak wody po gładkiem łożysku — obficie, miarowo, spokojnie i, jak strumień niehałaśliwy, szemrząc zcicha o namiętnościach dzieci bogów, które od Mentora francuskiego otrzymały ogładę arystokratów jego kraju. Dla myśli, uwiędłej pod gęstym cieniem scholastyki, otwarcie okna na świat starożytnych stało się ożywczem, naszą—niewiele wzrusza zmniejszona i przyodziana kopia antycznego posągu, nieodpowiadająca pojęciom o wielkości, grozie i wspaniałości oryginału, jakie rozwinęły się w nas od czasów Racine'a. Ma jednak utwór jego blaski swoje iskrzące, harmonię i ogromną prostotę w budowie gmachu scenicznego, a logikę w przebiegu akcyi i jeszcze—powab archaiczny wiersza.

Po *Fedrze* wznowiono *Hamleta*, obiecano zaś *Ryszarda* (został on, jak zwykle, w dziedzinie pogróżek) i — wahadło teatralne pospiesznie zaczęło opadać, a po paru miesiącach dosięgło przeciwnego punktu, gdzie wbrew prawom mechaniki, lecz zgodnie z logiką, rządzącą teatrem — zatrzymało się... I oto na jednym końcu przebytej drogi widzimy *Fedrę* i *Hamleta*, na drugim zaś... lecz któż je policzy te *Hypnotyzmy*, *Château Iquem'y*, *Wyprawy Richelieu'go*, *Influenze* i płody spółek autorskich!

Ruch ten wahadłowy ze wszystkiemi jego osobliwościami nie jest dla nas nowym i zdumiewającym; w obecnej jednak chwili zadziwia o tyle, iż w okresie czasu od *Fedry* do *Hypnotyzmu* zaszedł wypadek, który powinien był silnie wstrząsnąć organizmem teatralnym i porozkręcać zardzewiałe sprężyny, kierujące wahadełkiem repertuarowem. Blaski i uroki, jakimi wielki talent Żółkowskiego ozłacał poczerniałe i walące się mury sceny, znikły z zachodem jego życia; nie bez zasady więc mogliśmy się spodziewać, iż teatr nie namową już, lecz koniecznością zniewalany poszuka dla siebie nowych podstaw i oprze je na sympatyi szerokich kół myślącej części społeczeństwa. Źródła pseudo-klasycznego i Shakespearowskiego repertuaru, ku którym w chwilach skruchy zwracała się nasza scena, jakkolwiek po komedyi mieszczańskiej są orzeźwiające, nie mogą same jedne sympatyi tej zaskarbić, bo nie zaspakajają świeższych a bardziej już uprawnionych pragnień, bo należą do przeszłości i nie mogą popłynąć z prądem, unoszącym dziś myśli, przenikającym do literatury, a na scenie domagającym się postawienia obok dramatów książkowych — realistycznego.

W tym kierunku, w okresie czasu, o jakim mowa, nie uczyniono nic. Natomiast słyszeliśmy wiele o przesileniu ciężkiem do przebycia i potrzebie popierania sceny. Istotnie, względy wyjątkowe czynią ten zakątek naszego życia bardzo dla nas drogim nietylko odnośnie do sztuki, dla której jest siedzibą, ale odwoływanie się ustawiczne do tych względów wyjątkowych nie przystoi scenie, której nikt nie stawia wygórowanych i trudnych do ziszczenia żądań. Wiemy, iż jest biedną i sama zapracowywa na siebie, kwitujemy ją z przepychu takiego, jaki roztoczyć mogą, dajmy na to, meiningeńczycy i cały ogrom swych pretensyj zamykamy w skromnem żądaniu, żeby przyswoiła sobie dzieła, które nie są bynajmniej przybłędami w sztuce, a w literaturze nienajgorszą jej cząstką, które po większej części obiegły teatry europejskie, są znane i uznane. Boć śmiech powiedzieć, że dramaty Ibsena np. nie mają wstępu na scenę, która jest aż nazbyt łaskawą dla wybryków krotochwilnej muzy i naoścież wrota otwiera dla dramatu Sary Bernhardt (sic!). Gdybyśmy mogli uwierzyć, że przyszłość literatury dramatycznej mieści się w głowach histerycznych aktorek, zrzeklibyśmy się bez namysłu pretensyj do sceny i o istnieniu jej chętnie zapomnieli.

Na dziś, od szczegółowego przeglądu ostatnich nowości czytelnicy zwolnić mnie zechcą. W liczbie tych nabytków niema ani jednego, któryby w znaczeniu komedyi przyjąć było można, a dla fars zawsze nam brak miejsca.

Nowego pracownika pozyskał teatr nasz w osobie p. Frenkla. Artysta ten w archiwum naszej krytyki posiada już swoją półeczkę, a na niej kilka imponujących tomów, nad ułożeniem których pracowała rzesza sprawozdawcza w czasach jego występów gościnnych. Naszem zdaniem teraz dopiero, gdy p. Frenkiel nie w ciągu jednego wieczoru dla nas i z nami pracować zamierza, warto jest i poznać go lepiej i nad rodzajem jego talentu się zastanowić. Uczynimy to przy sposobności.

F. B.

POEZYA.

PERCY BYSHE SHELLEY.

I.

JUTRO.

Gdzieś dniu jutrzejszy ukochany?
Gdy silni, słabi, młodzi, starzy
W radości, smutku na twej twarzy
Chcą ujrzeć uśmiech pożądany,
Na twojem miejscu, jak swój cień,
Znajdują znów — dzisiejszy dzień.

II.

ELEGIA.

Gdy lampa strzaskana,
W jej szczątkach nie skrzeszesz płomyka;
Gdy chmura rozwiana,
Blask tęczy wszechwładnej z nią znika;
Gdy lutnia pęknięta,
O dźwięki jej nikt się nie pyta
I nikt nie pamięta,
Jak głos brzmiał, gdy pierś już rozbita.

Strzaskane narzędzie
Blask tłumi i dźwięk wszelki głuszy;
Z serca nie dobędzie
Ten śpiewu, kto nicość ma w duszy:
Głos jego piosenki,
Jak wiatr śród rumowisk przeraża,
Jak morskich fal jęki,
Szumiących na pogrzeb żeglarza.

Gdy się dwoje ludzi
Pokocha, wnet miłość ustanie;
Słabsze z nich się łudzi,
Że można przedłużyć jej trwanie.
O! powiedz dlaczego
Miłości, uczucie ty dumne,
Wybrałaś słabego
Na swoją kołyskę i trumnę?

Jako burza kruka,
Tak żądza jej cię ukołysze;
Rozum cię oszuka,
Gdy w sercu nakaże ci ciszę.
Gniazdo twe, co blizkiem
Chmur dziś jest i orłów nadzieją,
Będzie pośmiewiskiem,
Gdy wichry jesienne zawieją.

III.

SONETY.

1.

Ozymandias.

Napotkałem wędrowca, co obszedł świat cały
I mówił: jest w pustyni postać granitowa;
Bez tułowia, jedynie nogi pozostały,
Niedaleko olbrzymia w piasku leży głowa.

Zmarszczone brwi, ściągnięte wargi ocalały.
Tych rysów pogardliwych zwiastuje wymowa,
Że rzeźbiarz znał znikomość wszelkiej ludzkiej
[chwały,
Wiedział, że się szyderstwo na dziele przechowa.

Napis na piedestale wielkiemi głoskami:
„Me imię Ozymandias, jam król nad królami.
Drżyjcie przed moim dziełem: wielka ma potęga!“

Nic więcej nie zostało. Zniszczenie dokoła
Kolosalnej ruiny. Jednostajna, goła,
Szara, płaska pustynia, kędy oko sięga.

2.

Śpieszycie się do śmierci: czegoż w niej szukacie
Wy, myśli niespokojne i próżne badania
Mózgu, w służalczej świata, co chodzicie szacie?
Ty, serce, co od jutra czekasz zmartwychwstania,

Teraźniejszości wieczny, bezlitośny kacie —
I ty duchu, co chciałbyś rozwiązać pytania,
Skąd przyszedłeś, gdzie pójdziesz po powłoki
[stracie
I wiedzieć, co się nigdy ludziom nie odsłania!

O! dokąd tak biegniecie, że pędząc szalenie
Przez piękne drogi życia prędkimi krokami,
Widzicie w szarej śmierci jedyne schronienie

Przed szczęściem i niedolą, radością i łzami?
Serce, duchu i myśli! Czy owo złudzenie
Nadziei po za grobem wciąż was jeszcze mami?

Gabryel Kempner.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Jak dzieci. — Zbrodnia otwierająca nam wnętrze społeczeństwa. — Niesłuchany Okolski a wysłuchana Skoblińska. — Sądy statystyków o domach podrzutków — Najpewniejszy sposób usunięcia dzieci nieprawych. — Rada dla tych co chcą i mogą.—Rozczarowanie i wróżba. — Kolektory kanalizacyi moralnej. — Potomstwo króla perskiego.—Szakale nawrócone do biszkoptów.— Odrastający rak.

My tak zawsze — jak zwykle dzieci, które zastanawiają się nad ogniem wtedy do-

piero, gdy sobie nim palce poparzą lub sukienki popalą. Może istnieć w naszem łonie jakieś zło, które sprowadza niemoc, chorobę, zarazę społeczną; może nam tysiąckroć ktoś na nie zwracać uwagę; my. nie zważając na „akademickie“ rozprawy, będziemy dalej bawić się— tiurniurami, karnecikami, księciem Orleańskim, hrabianką w przebraniu mężczyzny poślubiającą kobietę, czerwonymi frakami, jedenastym potomkiem Lesepsa — licho wie nie czem, ściąganem z całego świata. Dopiero ujawniona zbrodnia przerywa nam te zabawy i napędza do zaczepionej z nią kwestyi, którą bez namysłu, bez należytego przygotowania rozstrzygamy improwizowanem trzy-po-trzy. Nagadawszy się wreszcie przez kilka dni lub tygodni, nasypawszy górę plew z młynków dziennikarskich, wracamy do... tiurniur, księcia Orleańskiego i dzieci Lesepsa. A co dokuczało — dokucza, co gniło— gnije, co zabijało — zabija.

Akurat przed rokiem *Biblioteka warszawska* zamieściła w dwu zeszytach obszerny artykuł prof. Okolskiego „O domach podrzutków“. Niestety, było to w karnawale a przytem nie mieliśmy sparzonych palców, więc kto tam chciał myśleć o ogniu! Przeczytano, albo nawet nie przeczytano „rozprawy akademickiej“ i zajęto się karnecikami oraz balem panieńskim, który wówczas pochłonął całą Warszawę. Ale nareszcie zbrodnia, która zwykle otwiera nam wnętrze społeczeństwa i uczy nas socyologii, przykuła myśl naszą do sprawy, do której nie zdołała jej nakłonić nauka; czego nie mógł dokazać profesor uniwersytetu, tego dokazała morderczyni dzieci; nie słuchaliśmy Okolskiego, ale z wielką uwagą wysłuchaliśmy Skoblińskiej.

Od chwili wykrycia czternastu jej ofiar i wspólników w zabijaniu niemowląt, prasa nasza wre rozprawami na temat nieprawych dzieci i podrzutków. Krótki sens tych długich sznurów frazeologii zawiera się w dwu zdaniach: jedni dowodzą, że Skoblińskie są następstwem zniesienia „kółka“ przy szpitalu Dzieciątka Jezus, które dawniej otwierało przytułek wszystkim podrzutkom bez żadnych ograniczeń, drudzy zaś, ostrożniejsi, twierdzą, że „trzeba w ten lub inny sposób złemu zaradzić.“ Co oba te pobożne życzenia nam obiecują?

Prof. Okolski zajął się właśnie w swej pracy oceną moralnej, społecznej i ekonomicznej wartości domu podrzutków na podstawie dowodów i materyału statystycznego, zebranego ze wszystkich państw Europy. Przytoczywszy odpowiednie cyfry, których tu dla braku miejsca powtarzać nie mogę i ciekawego czytelnika odesłać muszę do *Biblioteki warszawskiej* (styczeń i luty 1889 r.), wyprowadza z nich następujące wnioski:

„Ilość dzieciobójstw nie zależy bynajmniej od istnienia większej lub mniejszej ilości domów podrzutków, ale od zupełnie innych okoliczności.

„Według Oetingena, tam, gdzie istnieje wiele takich domów, *zwłaszcza z kołami*, liczba tych przestępstw nietylko się nie zmniejsza, ale przeciwnie powiększa.

„Zakłady te nietylko nie przynoszą zbawiennych skutków, ale owszem nieodłącznie są od nich pewne zgubne następstwa.“

Statystyka tedy, doświadczenia na szeroką skalę i badania ludzi tej sprawie oddanych, wywracają zupełnie wiarę w użyteczność i zbawczy wpływ domów dla podrzutków. Dwa główne systemy starają się złagodzić okrutny los tych nieszczęśliwych istot: jeden, t. z. katolicki, zbiera je w przytułkach, drugi protestancki, rozkłada je jako ciężar na gromady społeczne (gminy itp.). Prof. Okolski przechylając się bardziej ku ostatniemu, radzi wprowadzić zapomogi dla biednych matek na wzór istniejących we Francyi. Nie przeczę, że te zasiłki, że wogóle wszelkie środki dobroczynne mogą w części ograniczyć i uśmierzyć niektóre bóle tej choroby, ale przeczę stanowczo, ażeby którykolwiek z nich lub wszystkie razem ją leczyły. Podrzuca lub zabija dzieci głód i wstyd. Głód można powstrzymać od rozpaczy i zbrodni litością i pieniędzmi, ale co zrobić ze wstydem? Tu, w sferze zamożnej i obyczajowo surowej, urodziła dziecko panna zakochana w cudzym mężu, tam żona, której mąż siedzi w więzieniu lub popełniwszy przestępstwo uciekł, została matką z kochankiem, którego poślubić nie może; tam znowu został ojcem ksiądz— słowem, wyobraźmy sobie wszelkie kombinacye miłości, błędu, uwiedzenia, rozpusty, które kończą się dzieckiem nieprawem i potrzebą ukrycia go, co pomoże „zasiłek dla biednej matki,“ kiedy tu niema żadnej matki biednej, tylko jest nieszczęśliwa i zniesławiona?

„Jednakże trzeba złemu jakoś zaradzić“— mówimy po odkryciu Skoblińskich.

Jak?

Cokolwiek ludziska bredzą sobie na chwałę bałwana, zwanego opinią publiczną, nie ulega to najmniejszej wątpliwości, że każda organizacya, każdy układ stosunków społecznych gwałcący naturę i przeciwny jej koniecznościom, ani rozumnym ani dobrym być nie może. Otóż natura nie zna wcale dzieci nieprawych, gdyż wszystkie powołuje do życia jedną drogą i z równem uprawnieniem. Chcąc przeto spełnić jej wolę, należałoby znieść różnice i przywrócić wszystkim dzieciom równoprawność. Dokonać tego zaś nie można innym sposobem, tylko przez zaprowadzenie rodowodu wyłącznie macierzystego. Wtedy nie ojciec wprowadzałby do społeczeństwa dziecko, ale matka, która byłaby zawsze, jak jest obecnie, dla niego prawą. Według dzisiejszych ustaw całego świata cywilizowanego, dzieci, urodzone z kobiety żyjącej w małżeństwie, chociażby miały piętnastu ojców, ani jeden zaś nie był jej mężem, są wszystkie prawe. Iluż to „rogaczów“ zawdzięcza „prawe“ swe potomstwo przyjaciołom żon! Daremnie protestowaliby oni przeciw tym kukułczym jajkom — nie wysłucha ich ani kodeks, ani obyczaj. Jeżeli więc w związkach małżeńskich matka uprawnia dziecko, czemuż niema tego czynić we wszelkich, które są czasem świętsze i czystsze, od uznanych? Ale uspokójcie się, szanowne gęsi Kapitolu, nie myślę go wam burzyć i wiem, że on długo jeszcze nienaruszony stać będzie. Sądzę tylko, że kto bada niedole społeczne i chce im przeciwstawiać ideały szczęścia, nie powinien wpatrywać się wyłącznie w to, co objęte ciasnem kołem możliwości jego własnego życia lub najbliższych pokoleń, lecz także rzucić wzrok dalej, na bardzo odległe stopnie rozwoju i tam dojrzeć ideały i wzory. Przemawiając do dębu, ażeby zamiast żołędzi rodził brzoskwinie, osiągnąłbym ten sam skutek, co przemawiając do dzisiejszego społeczeństwa, ażeby równouprawniło dzieci. Ale taka wycieczka do krainy marzeń nie jest bezowocną: ubezpiecza nas od złudzeń w teraźniejszości i wlewa otuchę, że z dzisiejszego błota, nędzy, krzywd i upodleń wybrnie kiedyś ludzkość w przyszłości. Jest to sen w nocy o dniu i słońcu.

Tymczasem „trzeba złemu jakoś zaradzić.“ Gdybym wobec tego zła znalazł się w społeczeństwie, któreby chciało i mogło ratować podrzutków z uwzględnieniem obecnych praw, zasad i przesądów, powiedziałbym tak:

Wszyscy my, nie wyłączając ani jednego, w resztkach czasu, pozostałych od pracy zawodowej i rozrywek, bez uzdolnień, wiedzy i systemu partolimy zadanie niezmiernie ważne, jakiem jest wychowanie dzieci, które od najpierwszych chwil swego życia powinny być i będą kiedyś oddane pod opiekę i dozór kierownictwa umiejętnego w osobnych zakładach. Jak wyłączono z gospodarstw rodzinnych przędzenie, tkanie płótna i sukna, wyrób piwa i kaszy, tak również musi być z nich wyłączone daleko trudniejsze kształcenie dzieci. Jeżeli wszakże przeszkód czy naturalna, od wieków przekazująca się miłość rodzicielska wstrzymuje nas od tego postępu, nie tamujmy go dla tych, którzy zeń już korzystać pragną. Istnieje między nami masa dzieci biednych, którymi rodzice zająć się nie mogą; przybywa corocznie mnóstwo dzieci nieprawych, zabijanych lub wyrzucanych na ulicę. Otóż opodatkowawszy się stosownie, załóżmy dla jednych i drugich wielkie, kosztem ogółu utrzymywane domy wychowawcze, mamczarnie, szkoły, w dalszym ciągu rozmaite przybytki, kształcące człowieka do życia i pracy zawodowej. Przez takie instytucye usuniemy niedolę, zapobiegniemy zbrodniom, naprawimy w znacznej mierze krzywdę i osłabimy hańbę dzieci nieprawych, a przygotujemy sobie całe zastępy obywateli kraju z niemowląt, które dziś umierają z głodu, giną porzucane na bruku lub posiekane w korytach dla trzody chlewnej.

Nie byłoby to „rozwiązaniem kwestyi,“ ale przynajmniej rozplątaniem kilku jej najdokuczliwszych supełków.

Wszystko to bardzo piękne — wołają nasi publicyści — „trzeba jednakże złemu jakoś zaradzić“ u nas, natychmiast.

A radźcie, czułe dusze, ja nie umiem, a nawet pozwolę sobie wróżyć, że nic skutecznego nie uradzicie. Możecie wymyślić jeszcze kilka kojących plasterków, możecie przywrócić „kółko“ przy szpitalu Dzieciątka Jezus, wyposażyć go miłosiernemi ofiarami i zapisami, możecie utworzyć kilka podobnych zakładów, co niewątpliwie sprawi ulgę niedoli, ale nie wytępi Skoblińskich, nie usunie dzieciobójstw i podrzuceń, nie zmniejszy śmiertelności w przytułkach*), nie zetrze sromotnego piętna, wypalanego na czołach matek i ich dzieci nieprawych. Tego samą, nawet najhojniejszą filantropią nie dokonacie.

W sprawach poważnych nie należy pieścić się okrywającym je szychem, ale odgarnąwszy go, patrzeć w rdzeń rzeczy. Nam się zdaje, że „dom podrzutków“ jest czemś arcywzniosłem, szlachetnem i mądrem. Tymczasem jest to tylko jeden z głównych kolektorów naszej kanalizacyi moralnej, śmietniskiem społecznem, o tyle gorszem od innych, że do niego wpuszczamy i wrzucamy nie ciała zgniłe i bezużyteczne, ale zdrowe, w których sztucznie wywołujemy proces gnicia. Bezwątpienia, zacni Baudouinowie mieli czulsze serca od Likurgów, ale w zasadzie domy podrzutków stoją na jednym gruncie z domami nierządu: te otwierają ujście nieuprawnionym namiętnościom, a tamte — nieuprawnionym ich owocom; oba usprawiedliwiają się jedynie tytułem zła koniecznego, oba są przezroczystemi zasłonkami hańby, oba następstwami pogwałceń natury. Sentymentalizm rozczula się przytułkami dla podrzutków. Zapewne, na razie lepsza to dola dla niemowlęcia znaleźć się pod dachem i dostać trochę mleka, niż ginąć z zimna i głodu na ulicy lub w szponach dusicielki; ale czyż wyrąbanie kilku tygodni życia, otrzymanie pół kwarty mleka i szóstej części piersi mamki albo nawet całej kwarty, całej piersi i całego życia stanowi minimum szczęścia człowieka, niewinnie skazanego na męczarnię? Co winno to biedactwo, zarówno wtedy, kiedy je zrodziła rozpusta, jak i wtedy, kiedy je zrodziła najczystsza miłość, że je tak okrutnie prześladujemy? Za co ono jest porzucane, mordowane, głodzone, a kiedy te tortury wytrzyma, ścigane później szyderstwem i wzgardą? Za co?— spytajmy nasze sumienie. Jeżeli zaś ono nam odpowie, że popełniamy jedną z największych niesprawiedliwości, zastanówmy się, czy ją pokrzywdzonym wynagradza dom podrzutków.

*) Śmiertelność ta jest we wszystkich przerażająca. W przytułku Smoleńskim, według prof. Okolskiego, „w ciągu *20 lat ani jedno* dziecko nie utrzymało się przy życiu.

Prasa nasza liczy wielu potomków owego króla perskiego, który bił morze za zatopienie mu okrętów. Są to najnaiwniejsi ludzie pod słońcem. Zdaje im się, że każdą przyczynę nieszczęścia można „umoralnić" i uczynić nieszkodliwą, że oni, gdyby zadali sobie trud, „uszlachetniliby" parę w kotle, proch w lufie, wilka, psa wściekłego, mózgi zwyrodniałe, wszystkich i wszystko. Według nich szakal po wysłuchaniu kilku kazań postnych, niezawodnie nabrałby odrazy do mięsa i polubił biszkopty. Ci bezwiednie humorystyczni fizyolodzy, psycholodzy i socyolodzy, pominąwszy zupełnie potwora społecznego, rzucili się z całym impetem na potwory jednostkowe—na „wyrodne matki" i „fabrykantki aniołków," zapewniając uroczyście, że gdyby te grzesznice poddane zostały „wpływowi umoralniającemu," niezawodnie pierwsze byłyby zacnemi matronami, a drugie— troskliwemi piastunkami ich dzieci — jak nawrócone do biszkoptów szakale. Naiwnej zgrozy ani na chwilę nie zmąciła im myśl, że Skoblińskie ze swoją naturą się rodzą, że jej nie zmienią nawet zaprenumerowawszy *Kronikę rodzinną*, że jedynym sposobem ubezwładnienia ich złych instynktów jest niedostarczanie im żeru i łupu, tak jak jedynym środkiem wytępienia robactwa jest czystość. Policya wytropi lub przypadek odkryje i odda sądowi jedną Skoblińską, a sto istnieć i działać będzie niewyśledzonych i nieukaranych. Gdybyśmy je nawet wszystkie wyłowili i zamknęli w kryminałach, za rok lub dwa powstaną inne, bo śród milionów ludzi zawsze znajdzie się gromada kobiet, rodzących dzieci nieprawe w nędzy i hańbie. Rak wycięty w tem miejscu, gdzie się ujawnił, nie ustępuje bynajmniej z ciała nim zakażonego i po pewnym czasie wystąpi gdzieindziej. Kto więc chce być rzeczywiście lekarzem społecznym, powinien myśleć o kuracyi całego organizmu, a nie zewnętrznych objawów choroby. Oddajmy Skoblińskie sądom lub patologom i psychologom, a my zajmujmy się badaniem i poprawą stosunków życia. Wtedy przestaniemy uwijać się koło społeczeństwa z olejkami i plasterkami apteczki domowej a wytworzymy dla niego terapię i hygienę gruntowną, uzdrawiającą i ochronną.

Poseł Prawdy.

KRONIKA.

Szkoły. Według świeżego rozporządzenia ministeryum komunikacyi, wychowańcy kolejowych szkół technicznych, odbywający dwuletnią praktykę dla otrzymania patentu, obowiązani są nosić czapki mundurowe szkół technicznych z dodaniem znaku kolei, na której odbywają praktykę.

— W sprawie wykładu w średnich zakładach naukowych gimnastyki i obrotów wojskowych, ministeryum oświaty otrzymało od kuratorów okręgów naukowych szereg żądań wyjaśnienia wielu wyniklych stąd kwestyj. Ogólne wprowadzenie wykładów natrafia na przeszkody z braku odpowiednich pomieszczeń. Prawie żadne gimnazyum, szczególnie na prowincyi, nie posiada dość wielkiej sali, należycie ogrzewanej, odpowiadającej nauce gimnastyki dla kilku klas razem; każda więc musi się uczyć oddzielnie, czemu jeden etatowy nauczyciel nie może podołać, mając ograniczony czas wykładu pomiędzy godziną 10 a 2 (lekcya gimnastyki nie może być pierwszą lub ostatnią). Wreszcie przy planie lekcyj w gimnazyach i personelu nauczycielskim trudno odnaleźć czas na wykład gimnastyki, pomimo skrócenia godzin do 50 minut przy wykładzie wszelkich innych przedmiotów.

— Ministeryum dóbr państwa zamierza otworzyć szkołę specyalną w jednym z punktów uprawy lnu.

— W tomaszowskiej szkole miejskiej ma być zaprowadzona nauka tkactwa i przędzalnictwa, na co miasto ofiaruje 350 rs. i rząd 300.

— W czteroklasowej szkole rzemieślniczej w Łodzi od r. 1888 zaprowadzono wykład introligatorstwa i tokarstwa, dwa razy tygodniowo. Koszt zaprowadzenia wynosił 250 rs., utrzymanie roczne 750 rs. Szkoła liczy 162 uczniów.

— Wyznaczono pół miliona rubli na zakładanie szkół technicznych, przeważnie w okręgach fabrycznych.

— Austryacki minister oświaty udzielił 300 zlr. zapomogi szkołom przemysłowym w Krakowie, których zreformowania domagają się tamtejsi rękodzielnicy.

— W gimnazyach austryackich mają nastąpić ważne zmiany w systemie nauczania geografii, historyi i nauk przyrodniczych.

— Studenci wszystkich uniwersytetów austryackich wszczęli zatargi z profesorami z powodu niewłaściwego postępowania tych ostatnich.

Egzaminy. Z rozporządzenia ministeryum komunikacyi wszyscy kapitanowie statków parowych i maszyniści prywatnych żeglug parowych mają być pociągnięci do egzaminów ze znajomości przepisów dla żeglugi parowej.

Zakłady dobroczynne. W warszawskiej radzie gubernialnej dobroczynności publicznej projektowane jest otwarcie wkrótce domów schronienia dla starców i kalek w miastach: Błoniu, Kutnie i Garwolinie.

Wystawy. Wystawa w Warszawie koni i przedmiotów, mających związek z ich chowem, oraz gospodarskiego inwentarza żywego nie przyjdzie do skutku z powodu braku funduszu gwarancyjnego i chęci do brania w niej udziału. Z tego powodu — jak się dowiaduje *Kur. warsz.* — wystawa ta z nowym programem odłożona będzie na r. 1892 lub 93. Nagrody przyznawane będą przeważnie grupom przychówków stadninowych, zrodzonych po r. 1890.

— W Berlinie zapowiedziane są wystawy: od 25 kwietnia do 5 maja wielka powszechna ogrodnicza, od 12 do 22 czerwca pierwsza powszechna wystawa koni.

— W Londynie otwarto wystawę bicyklów i trycyklów z udziałem 270 fabryk.

Zjazdy. W zjeździe pocztowym w Petersburgu przyjmie udział 40 państw.

— Podczas tegorocznej wystawy rolniczo - leśnej w Wiedniu odbędzie się kongres międzynarodowy, na którym roztrząsane będą ważne sprawy, dotyczące gospodarstwa wiejskiego i przemysłu rolnego.

Sprawy kolejowe. Wkrótce rozpoczęta będzie budowa linii Żmerynka-Mohylew.

— W zarządach kolejowych w Królestwie poruszono sprawę powierzenia niektórych zajęć służbowych kobietom, o ile ministeryum komunikacyi nie będzie miało nic przeciwko temu. W tym celu zarządy porozumiewają się między sobą, jakie mianowicie obowiązki mogłyby być poruczone kobietom i jaki procent ich w stosunku do całej służby mógłby znaleźć zajęcie. Jeżeli projekt przyjdzie do skutku, pierwszeństwo mieć będą wdowy i córki po urzędnikach danej kolei.

— Dyrekcye kolei Wiedeńskiej i Bydgoskiej poleciły na drzwiach wchodowych do swoich biur przybić ogłoszenie zawiadamiające, że prośby o posady, z powodu zupełnego braku wakansów, nie są przyjmowane.

— Projekt inżeniera Weissblata zbudowania w Łodzi kolei obwodowej i połączenia siecią dróg oddzielnych fabryk z koleją Fabryczno-Łódzką, znajduje się obecnie w ministeryum spraw wewnętrznych. Linie te przejść mają przez grunty przeszło stu kolonistów.

— Projektowany oddawna w Warszawie dworzec centralny dla wszystkich kolei ma wkrótce przyjść do skutku. W tym celu będzie ogłoszony konkurs architektoniczny.

— Na kolejach Południowo-Zachodnich od 13 lutego wprowadzono nowy podatek, zatwierdzony przez ministeryum: $1/5$ kop. od każdego puda towarów, przywożonych na stacye tych dróg.

— Rozpatrywaną jest obecnie przez rząd sprawa, w jaki sposób można by w przyszłości uniknąć zwłoki w transportowaniu towarów zbożowych. Postanowiono co rok na zasadzie zebranych szczegółów statystycznych o przewidywanym urodzaju zgromadzać na pewnych liniach kolejowych większą ilość taboru ruchomego.

— W dalszym ciągu reform na kolejach węgierskich bilety jazdy sprzedawane będą we wszystkich urzędach pocztowych, dystrybucyach, zakładach kąpielowych, hotelowych itd., mogą być one zużyte w czasie dowolnym.

Handel. Polescy właściciele lasów zamierzają połączyć się w spółkę, aby uniknąć wyzyskiwania ze strony handlarzy drzewem (trochę zapóźno!).

— Z Sosnowic donoszą, iż tamtejsze magazyny towarowe (kolejowe i prywatne) przepełnione są zbożem, którego wysyłka do Prus i Austryi ze względu na niskie ceny, nie przedstawia żadnych korzyści. Dalsze przyjmowanie zboża wstrzymano.

— W Irkucu pod firmą „Orłowski i S-ka" otwarto kantor handlowo-komisowy, w celu wymiany towarów, tudzież zaopatrywania Irkucka w niektóre produkty tutejsze.

Przemysł. Trzynastu właścicieli większych cegielni, istniejących w okolicach Warszawy, zawiązuje spółkę, której zadaniem będzie zogniskowanie handlu cegielnianego.

— Sześć fabryk mniejszych w Łodzi ograniczyło godziny zajęcia robotników (czy i płacę?).

— W Wilnie powstaje fabryka ołówków.

Konkursy. Redakcya *Rolnika i hodowcy* ogłasza konkurs na ułożenie wzorów ksiąg rachunkowych łatwych do prowadzenia, któreby wykazywały dochody z majątku i stosunek do wydatków osobistych właściciela. Termin nadsyłania prac: 31 marca 1891 r. Nagroda 300 rs. Praca nagrodzona stanie się własnością redakcyi.

— Komitet Towarzystwa Sztuk Pięknych ogłasza konkurs malarski im. Wojciecha Gersona na obrazy historyczne, z zakresu religijnego alegoryi lub mitologii, niewystawiane nigdzie. Deklaracye artystów przyjmowane będą do 15 grudnia r. b., obrazy — do 30 tegoż miesiąca. Nagroda 600 rs. Wystawa konkursowa otwarta 1 stycznia r. 1891 trwać będzie sześć tygodni.

Wiadomości społeczne. Dyrektor bawiącej w Warszawie orkiestry węgierskiej, da koncert na rzecz Towarzystwa opieki nad ubogiemi matkami i ich dziećmi.

— Towarzystwo ubezpieczeń od wypadków, „Pomoc," uzyska koncesyę na rozszerzenie swych operacyj przez dobranie działu ogniowego i transportowego. W tym celu kapitał, wynoszący dziś 500,000, powiększony będzie o milion.

Bibliografia. Niewiadomski; *Racyonalne projektowanie linij objazdowych na kolejach żelaznych*, Warszawa, str. 39 i tablice.

— E. Broniewski, *Tablice graficzne do dziejów Europy*, wieki XIII i XIV, ark. 5.

— Lucyan z Samosaty, *Rybak* czyli Zmartwychwstali filozofowie, przełożył E. Weidel, Warszawa, str. 50.

— A. Suligowski, *Drugi zjazd prawników i ekonomistów polskich*, Warszawa, str. 106.

— J. Starkman, *Encyklopedya medycyny i hygieny*, zeszyt 4.

Zmarli. Katarzyna Lewocka w Warszawie, pisarka dla dzieci.

— Dr. Krzysztof Buijs-Ballot, meteorolog holenderski, prof. wszechnicy w Utrechcie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu E. Kor. w Czehr. 1) Rzeczywiście, ale główne we Francyi, gdzie odegrały rolę względy polityczne; 2) jakie to mają być „nowe prawdy" — nie wiemy, ale nowy, przynajmniej Zachodowi nieznany materyał życia—tak; 3) o naszej we Francyi mniej, w Niemczech więcej.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 16 Февраля 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.